№ 5. Warszawa, dnia 2 Lutego (21) Stycznia 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. **7**.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Krwawe dzieje
(w Wiedniu).

Doświadczenie ma we wszystkich sprawach głos ważny, a w politycznych decydujący. To też słuchają go bardzo pilnie mężowie stanu, którzy czegoś od życia nauczyć się pragną. Gdy ks. Bismark przegrał walkę z duchowieństwem katolickiem, nie podjął jej w ten sam sposób Ferry. Podobnie z doświadczeń kanclerza niemieckiego wyciąga dla siebie nauki rząd austryacki co do socyalistów. Nie ulega wątpliwości, że wydane przeciw nim prawa w Niemczech wstrzymały na chwilę rozrost socyalizmu, ale i to pewna, że powoli straciły swą skuteczność a nawet dodały mu pobudek. Otóż dziś Austrya, zatrwożona groźnem nurtowaniem rewolucyjnych prądów i szeregiem morderstw*), rozmyśla nad sposobami ubezpieczenia się z uniknięciem tych błędów, które popełnili jej sąsiedzi. Rzeczywiście jest nad czem głowę łamać. Obok postępującej agitacyi i wzburzeń, które nie oszczędzają nawet kościoła, w niedługim czasie pada z tajemniczej ręki już drugi agent policyjny. Naturalnie pod pierwszem wrażeniem obawy i zemsty poruszono myśl wydania osobnych ustaw przeciw socyalistom; gdy jednak ochłonięto z niepokoju, projekt ten okazał się dla wielu niepraktycznym i zbytecznym. Skoro bowiem rząd w Austryi posiada nieograniczoną możność konfiskowania szkodliwych według niego druków, rozwiązywania stowarzyszeń, rozpędzania zebrań i osób, po co więc jeszcze osobna ustawa, któraby przytem skrępowała swobodny rozwój społeczeństwa i ucisnęła spokojnych jego obywateli? Jedna z gazet wiedeńskich, zastanawiając się nad dwoma świeżemi morderstwami, przychodzi do wniosku, że przez nie teroryści chcą właśnie wywołać surowość rządu. „Nie były to — powiada ona — zwykłe czyny zemsty, gdyż, o ile wiemy, obaj zabici policyanci nie robili nic innego, tylko spełniali przepisane im obowiązki. Ale może chciano nastraszyć policyę? Sądzimy, że chyba najszaleńszy anarchista nie jest tak niedorzecznym, ażeby nie wiedział, że administracya austryacka tego rodzaju przestępstwami nie da się odciągnąć od swej rzeczywistej lub mniemanej powinności; gdyby zaś mordercy mimo to chcieli ją steroryzować, wybraliby sobie niezawodnie inne ofiary, niż dwóch podrzędnych policyantów. Mieliż na widoku pomnożenie liczby swych zwolenników? I to jest nieprawdopodobnem, gdyż musieli przewidzieć, że niewinnie przelana krew zbudzi przeciw nim tylko wstręt i zgrozę." Rozebrawszy te domysły, gazeta stawia taką hypotezę: „Jeżeli partya anarchiczna uplanowała i wykonała morderstwa florisdorfskie, to jedynym jej celem było popchnąć policyę i władze prawodawcze do środków gwałtownych. Nie zapominajmy bowiem, że wodzowie anarchizmu wychodzą z następującej zasady: dobro ludu pracującego nie da się pogodzić z istniejącym porządkiem społecznym; państwo, w obecnej swej postaci, ze swej wewnętrznej natury nie może nigdy uwzględnić interesów mas, należy je więc wyrwać z korzeniem, na jego miejscu pozostawić bezwzględne *nic*, a potem przystąpić do poprawy. Ten wszakże waryacki program spotyka w samychże socyalistycznych szeregach energicznych i dla anarchizmu niebezpiecznych przeciwników. Umiarkowani wierzą w możliwość reformy społecznej przez państwo w granicach istniejącego ustroju; to też zawsze i wszędzie najwyższem staraniem anarchistów było dowieść „połowicznym i letnim," że ich nadzieja jest głupią, że w państwie należy bezwarunkowo widzieć nieprzyjaciela, przeciwko któremu każdy środek jest godziwy. Wiadomo również wodzom partyi skrajnej, że oni nie mogą opierać się na swych własnych zwolennikach, dopóki nie zdołają wykorzenić wiary w bezstronność i dobrą wolę państwa. I do tego właśnie ono samo jest im przydatne. Potrzebują jego współudziału w dwu kierunkach: państwo musi pomódz do pokonania socyalistów umiarkowanych i wystąpić z całą surowością przeciw wszystkim."

Hypotezie tej niepodobna odmówić pewnej trafności. Istotnie, z łona najskrajniejszego anarchizmu wyszła zasada: „im gorzej — tem lepiej," innemi słowy: im większy ucisk, tem oni więcej zyskują wyznawców. Wiadomo również, że teroryści objawiali zawsze szczególną nienawiść do liberalnych ministrów, oględnych reformatorów i wszystkich ludzi, zalecających powolny i spokojny postęp, który im zawsze miesza plany i odciąga zwolenników.

Ale przypuściwszy nawet, że morderstwa florisdorfskie nie wynikły z takiej rachuby, osobna ustawa przeciwko socyalistom — jak przekonało doświadczenie niemieckie — celu nie osiąga, mimowoli sieje to, co wytępić pragnie, i dotkliwym ciężarem spada na ramiona całego społeczeństwa. Jeżeli policya, dla zapobiegnięcia kradzieżom, nakaże wszystkim nosić latarki, z pewnością bardziej dokuczy spokojnemu ogółowi, niż złodziejom. Podobnie rzecz się ma z socyalizmem. Ofiarą surowości prawa padają przedewszystkiem ludzie, którzy nie knując żadnych morderczych spisków, lecz pracując nad poprawą doli ludu, nie kryją się ze swą działalnością, nie wkopują się pod ziemię, a więc są widzialni i prześladowani.

*) Niedawno zabity został w Florisdorfie (pod Wiedniem) urzędnik policyjny, powracający z zebrania ludowego. Przed kilku dniami jakiś wykonawca wyroku „partyi," odmawiający wszelkich zeznań i dotąd badany bezimiennie, zastrzelił agenta policyjnego Blocha.

Zobaczymy niedługo zapewne, czy rząd austryacki wejdzie na tę drogę, którą mu odradza doświadczenie sąsiada, a na którą go wpycha, grożąc rewolwerem i dynamitem, okrwawiona ręka anarchizmu. Tymczasem zawiesił w stolicy i jej okolicach kilka praw konstytucyjnych.

SPUŚCIZNA PO LICHWIARZU.

Smutny stan ekonomiczny Galicyi, oprócz przyczyn ogólniejszych, niepozwalających jej współzawodniczyć z wyżej posuniętymi w rozwoju krajami monarchii, zależnym jest jeszcze i od innych czynników. Na galicyjskiego chłopa jedna bieda wali się za drugą, ucisk podatkowy czyni go niewypłacalnym, prywatny wyzysk, uprawniony i jawny, dobija do reszty a haniebna procedura sądowa pozwala nietylko wywłaszczyć go z ziemi, ale wyzuć niemal z ostatniej koszuli. Dla państwa, dla władz krajowych jest on tylko opodatkowaną jednostką, maszyną do głosowania, żywem mięsem na rzeź przeznaczonem, manekinem do urządzania wierno-poddańczych owacyj — niczem więcej.

Samorząd, z którego nie korzysta, zwiększył dlań tylko ciężary i z samolubną obojętnością wydaje go związanego na pastwę wyzyskowi, lichwie, nieraz głodowej śmierci. Przesadzone z Wiednia szwindlarstwo bankowe przyjęło się na sprzyjającym gruncie niemocy i niezaradności ekonomicznej, a egoizm klas rządzących, brak poważnej krytyki społecznej, dopomogły jego wzrostowi. Corocznie gazety donosiły o wzrastającej liczbie sprzedaży za długi posiadłości włościańskich, od czasu do czasu uczciwsze głosy w prasie wskazywały lichwiarskie sztuczki publicznej instytucyi, znanej pod nazwą Banku włościańskiego — wołania te jednak przebrzmiewały bez echa: władze krajowe łowiły mniemanych panslawistów i socyalistów, a przedstawiciele narodu nie mieli również czasu na „chłopską sprawę“ bo, albo urządzali koronacye świętych obrazów, albo dumali nad wymyśleniem reakcyjnych ustaw, albo zajmowali się sprawami wyższej polityki.

Bank włościański powstał przed kilkunastu laty z celami niby to filantropijnymi; założyli go: książę polski, baron ormiański i żyd wiedeński, rozpoczął zaś swe czynności pod opieką i błogosławieństwem dostojnika kościoła — metropolity lwowskiego.

Charakterystyczna czwórka — nieprawdaż? Już w samych początkach jego działalności bystrzejszy wzrok mógł dostrzedz podejrzane objawy; mówiła o tem jasno ustawa, przyznająca zbyt wygórowane zyski uczestnikom i właścicielom listów zastawnych, mówiły sposoby i warunki udzielania pożyczek. Zresztą podstawa była błędną. Dotychczas nasi domorośli ekonomiści, szeroko i długo rozprawiający o potrzebie kredytu dla włościan, nie zdają sobie sprawy: jakiego rodzaju pożyczki chłop potrzebuje. Bezwątpienia najpilniejszym dlań jest kredyt krótko-terminowy, osobisty, co najwyżej roczny, w ograniczonej ilości, bodajby na wysoki procent.

Potrzebnym jest mu nieraz na przednówku dla kupienia zboża, dla nabycia krowy, która padła, albo konia, który w pewnych okolicznościach stanowić dlań może znaczne źródło zarobku. Pożyczkę taką zwykle spłacić jest w stanie, bądź dochodem z ziemi, bądź pracą własną. Niemniej ważnym jest kredyt długo-terminowy, ze spłatą ratami, ale na jeden cel tylko — na kupno ziemi. Wszelki zaś kredyt bankowy, hypoteczny — dla ulepszeń gospodarskich niema racyi bytu. Bo jakie ulepszenia zaprowadzi chłop na swym kilko-morgowym kawałku gruntu. Czy kupować będzie poprawne rasy bydła, koni i owiec, drogie maszyny, urządzać dreny? Nie przeczymy, że poprawa gospodarki włościańskiej jest konieczną, ale zależy ona głównie na użyźnianiu ziemi, na stopniowej poprawie inwentarza; że nawet kupno maszyn i osuszanie łąk i rozpłodowe stadniki są niezbędne, ale nabyć ich może tylko stowarzyszenie, gmina a nie pojedyńczy gospodarz. Gdyby władzom autonomicznym leżało na sercu polepszenie bytu włościan, mogłyby wiele zrobić w tym kierunku; lecz kredyt bankowy, udzielany przytem nieopatrznie i na 12%, doprowadzić mógł tylko do ruiny.

Odrazu więc Bank włościański nie miał trwałej podstawy i musiał łatać swoją finansową powagę różnemi sztuczkami. Ale taki stan rzeczy nie może ciągnąć się zbyt długo i dziś, obdarłszy poprzednio do koszuli chłopów, Bank sam zachwiał się i dni jego są już policzone. Listy zastawne przynosiły właścicielom 2—3% więcej, niżeli inne papiery hypoteczne, znajdowały więc chętnych nabywców, zwłaszcza w sferach giełdowych. Działo się to w ten sposób. Oprócz zwykłych kuponów, Bank przeznaczał dla właścicieli listów, tytułem dywidendy, 70% czystego zysku. Dla podtrzymania kursu przy zamykaniu corocznych rachunków wstawiano w sumę aktywów zaległości procentów, przenoszące nieraz wysokość pożyczki, które nigdy prawdopodobnie uiszczonemi nie będą. Manewr ten dawał wysoki zysk fikcyjny i również wysoką, ale rzeczywistą dywidendę. Dzban jednak do czasu mógł w ten sposób nosić wodę, w końcu zabrakło pieniędzy i Bank nie mógł wypłacić ani styczniowego kuponu, ani wylosowanych listów. Papiery jego spadły znacznie, ale spadłyby jeszcze więcej, gdyby wierzyciele nie mieli nadziei, że przyjdzie mu z pomocą Bank krajowy. Możnaby śmiało zostawić ten wytwór lichwiarskiej spekulacyi jego własnemu losowi, gdyby nie ta okoliczność, że przy likwidacyi interesów i ściąganiu przeszło 2,000,000 należności — 43,000 osad włościańskich zostanie wystawionych na sprzedaż.

Bank w wyższych sferach miał zawsze protektorów i przyjaciół — dziś więc wołają oni w niebogłosy, że trzeba ratować zagrożony kredyt Galicyi i wzywają do tego Bank krajowy. *Czas* mający znaczny wpływ na kierowników tego ostatniego, podaje nawet projekt ratunku. Rzeczywiście położenie jest trudnem, bądź co bądź, trzeba zapłacić wierzycielom i uratować od nędzy ostatecznej dziesiątki tysięcy ludzi. Wątpimy jednak, czy środki zalecane przez *Czas* są jedynie skuteczne. Proponuje on przejęcie interesów Banku włościańskiego przez Bank krajowy i prowadzenie ich w dalszym ciągu, licząc, że zmniejszone koszta administracyi i surowo ściągane bieżące należności wystarczą na opłatę kuponów i amortyzacyę. Dłużnicy otrzymać mają pewne ulgi, mianowicie ciążące na nich zaległości rozłożone będą na raty. Nie wielkie to zaprawdę dobrodziejstwo, a zmniejsza je jeszcze żądanie przyznania Bankowi krajowemu egzekucyi administracyjnej (t. z. krótkiej instancyi). Nam się zdaje, że przy dobrych chęciach możnaby prościej i radykalniej rzecz tę załatwić.

Wspomnienia o Heinem.

II.

Od 1836—1837 r. jako tłomacz i spółpracownik *Journal de Francfort*, redagowanego przez Duranda (późniejszego redaktora głównego *Capitole* w Paryżu), rozporządzając wszystkimi dziennikami i przeglądami paryskimi, posyłałem regularnie korespondencye z Paryża do *Swiata eleganckiego* w Lipsku, ma się rozumieć bezimiennie, a publiczność robiła mi wielki zaszczyt, przypisując je Henrykowi Heine. Przybywszy w r. 1837 do Paryża wraz z rodziną Durand, przedstawiłem się Heinemu z listem polecającym od przyjaciela jego, Gutzkowa. Mieszkał wówczas przy ulicy Męczenników a mieszkanie jego podobne było zupełnie do siedziby poety niemieckiego. Ani dywanów, ani ozdób tapicerskich, bądź też luster — oprócz wytartych, należących już do mieszkania. Stół, kilka krzeseł, łóżko w sypialni bez firanek i bez zegara. Kilka posążków, stara kanapa, sekretarka, parę broszur i stos papierów. W salonie wisiał portret Matyldy, późniejszej pani Heine, pędzlą nieznanego mi malarza, wielbiciela geniuszu Heinego i piękności Matyldy oraz kilka sztychów, również podarowanych przez ich autorów. Wyszła ku mnie pani Heine, a ponieważ nie lubiła wcale niemców, pomimo że jej kochanek był wielkim poetą niemieckim, mając żal do kilku ciekawych i niedyskretnych, którzy narysowali jej portret w korespondencyach niemieckich, przywitała mię bardzo źle i wołając swego pana, krzyknęła głośno:

— Henryku, oto jeszcze jeden młodzieniec, który przybywa z Niemiec i pragnie się z tobą widzieć. Czy chcesz go przyjąć?

Skoro tylko Heine ukazał się w progu swego gabinetu, wypowiedziałem znany wszystkim talmudzistom frazes hebrajski Ibn Ezry. Ibn Ezra, przybywszy do swego przyjaciela Kimchi, największego hebraisty wszystkich czasów, będąc źle przyjętym przez jego żonę, napisał na kawałku papieru zdanie następujące: *Lebajsecho bosy, psuch mocosy, weisztecho nesabro mewio ryszauno.* W klasycznej hebrajszczyźnie znaczy to: „Przybyłem do domu twojego, znalazłem drzwi otwarte, i żona twoja wpadła w gniew za pierwszem mem ukazaniem się.“ Nie zmieniając ani głoski, ani punktu, ten sam frazes w narzeczu talmudycznem znaczy (podaję przekład łaciński): *Veni ad uxorem tuam, portam apertam inveni, et uxor tua, primo congressu, intumuit.* Była to zarazem pułapka. Chciałem wiedzieć, czy Heine, wychowany jako żyd do trzynastego roku życia, nie zapomniał hebrajszczyzny. Wybuchnął śmiechem, jakkolwiek niezupełnie zrozumiał podwójne znaczenie tych słów, a kiedym mu wymienił me nazwisko i przedstawił list Gutzkowa, odezwał się do mnie:

— Nie potrzebujesz pan rekomendacyi. Wzięto pana za mnie, musisz więc posiadać dyabelnie dużo rozumu — ja bowiem nie czytałem żadnej pańskiej korespondencyi. Pierwsze lody pękły.

— Wyjdziemy na śniadanie — odezwał się do mnie—zjesz je pan z nami i pogawędzimy.

Wiedząc, że jestem żydem, przedstawił mię jako takiego swojej metresie. Żydzi, świeżo wyemancypowani najzupełniej przez Ludwika Filipa, uważani za paryasów prawie w całej Europie, tworzyli wówczas jeszcze rodzaj wolnomularstwa uciśnionych i łączyli się z wielką łatwością—nadewszystko uczeni, literaci i artyści dla wyswobodzenia się z pod jarzma ośmnastu wieków potwarzy, ucisku i sromot społecznych. Wyjątek stanowili tylko żydzi nawróceni, z obowiązku gorliwi, unikający wszelkich związków i stosunków z dawnymi współwyznawcami, na których musieli patrzyć jako na nieszczęśliwych potępieńców, mających na oczach przepaskę, niedających im widzieć jasności olśniewającej Boga — Trójcę.

Najprzód nie należy przypisywać zbyt wielkiej wagi osłabieniu kredytu galicyjskiego i robić sobie dużo ceremonij z bankierami wiedeńskimi. Wiedzą oni zbyt dobrze, że likwidacya przymusowa zrujnuje chłopów, ale i im wielkiej korzyści nie przyniesie i chętnie uczynią pewne ustępstwa, byle całą sprawę załatwić polubownie. Możnaby więc odrazu za pomocą Banku krajowego przeprowadzić likwidacyę dobrowolną, dłużnikom udzielić pożyczkę na niższy procent dla spłaty zaległości, a nawet część ich umorzyć z funduszów krajowych. Kiedy najwyższe władze obojętnie patrzyły na jawne oszustwo i rabunek cudzej własności sprawiedliwem jest, żeby kraj cały poniósł choć część ciężaru, a nie wkładał go całkowicie na chłopskie barki. Zniżenie bieżących procentów do $^2/_3$ chociażby i udzielenie na dogodnych warunkach rozłożonej na raty pożyczki dla spłaty zaległości, przy częściowem umorzeniu ich — nie narażając Banku krajowego, ocaliłoby od ruiny włościan. Jest to rozwiązanie kwestyi zupełnie możliwe, bo nawet *Czas* projektuje utworzenie instytucyi, któraby w miarę spłaty długów udzielałaby nowe, niżej oprocentowane pożyczki. Wtedy nowa instytucya byłaby, co prawda, musztardą po obiedzie. Nie można jednak wcale spodziewać się, żeby władze galicyjskie rozcięły zadzierzgnięty węzeł, sprzeciwia się temu rutyna administracyjna i wstręt do podnoszenia szerszych kwestyj i samolubna obojętność klas panujących, którym właściwie nie chodzi tyle o zmianę stanu rzeczy i ratowanie od nędzy tysiąców chłopów, ile o podtrzymanie słabnącego kredytu kraju— a na to i zwyczajne środki tymczasem wystarczą.

J. L. P.

CO — I JAK — W SOCYOLOGII.

I.

Każda umiejętność, każdy niemal traktat naukowy, przed przystąpieniem do właściwego wykładu, musi potrącić pewne pytania, które, jakkolwiek w ścisłej pozostają z nim spójni, przecież nie stanowią jego integralnej części. Należy jednak załatwić się z niemi uprzednio zarówno w interesie samego przedmiotu, dla jasnego wytknięcia jego granic i znaczenia, jakoteż i w interesie czytelników, aby mogli wiedzieć, dokąd i po jakiej drodze autor zamierza ich prowadzić, znać cel oraz najodpowiedniejszą dla niego metodę. Odpowiedzi na owe pytania składają to, co nazywamy wstępem do pewnej umiejętności lub traktatu. Mimo tych wspólnych zadań wszystkich takich wstępów, w układzie i zakresie ich panuje i panować musi wielka różnorodność. Tu bowiem autor winien liczyć się nietylko z naukowemi wymaganiami swego przedmiotu, lecz także i z zamiarami, dla których swą pracę podjął. Stąd też inaczej przedstawia się wstęp w naukowem opracowaniu tejże treści a inaczej w pedagogicznem, inaczej w popularnem i wreszcie inaczej w polemiczno-krytycznem. Pomiędzy przyczynami, od których układ i zawartość podobnych wstępów zależy, niepoślednie — może nawet najprzedniejsze — miejsce zajmuje stopień rozwoju danej nauki i stosunek wykształconego ogółu do niej. Im dłuższą przeszłość ma ona za sobą, tem dokładniej cele i granice jej są określone a metody ustalone, tem mniej chwiejności w ogólnych jej punktach widzenia, tem bardziej wreszcie staje się ona wspólną własnością żywiołów oświeconych, słowem tem mniej potrzeba rozwodzić się nad pytaniami wstępnemi Inaczej ma się rzecz, jeśli umiejętność jest nowa. Wówczas potrzeba nie raz i cele jej właściwe wskazać i drogi wyknąć; co więcej, nawet możliwość jej i potrzebę obronić wobec konserwatyzmu lub, co gorzej, niechęci wykształconego ogółu do wszystkiego, co grozi naruszeniem równowagi, do jakiej w swych pojęciach, poglądach i nawyknieniach myśli dzięki rutynie doszedł. W obecnej chwili dostarcza socyologia bardzo obfitego materyału do wstępu, jest bowiem nauką bardzo młodą i względnie do innych głównych działów wiedzy z jednej strony przedstawia wiele chwiejności w określeniu swych granic, celów i metod, a z drugiej mało jeszcze weszła w skład ogólnego wykształcenia.

Study of sociology Herberta Spencera *) posiada z tego powodu podwójnie doniosłe znaczenie. Po pierwsze bowiem wyjaśnia najważniejsze wstępne pytania socyologii, a powtóre nie ma formy ściśle naukowej zakończonego systemu, lecz raczej jest zbiorem oddzielnych rozpraw, napisanych tak, iż są zrozumiałe dla każdego umysłowo rozwiniętego czytelnika. Wszakże mimo to plan dzieła jest wyraźny, rozdziały łączą się z sobą wewnętrzną logiką a całość przeniknięta jest wspólną myślą. To też chociaż Spencer nie rozłamuje swej książki na działy i poddziały, łatwo przecież dostrzedz, iż ona rozpada się na trzy główne części. Pierwsza zajmuje się potrzebą, możnością i przedmiotem socyologii; druga wyjaśnia jej metodę; wreszcie trzecia zastanawia się nad najodpowiedniejszym dla socyologii sposobem myślenia.

Pierwsza jest najmniejszą i najmniej sięga głębi przedmiotu. Z jednej bowiem strony przedmiot socyologii w najogólniejszych zarysach powszechnie jest już znany a potrzeba jej i możność niezbyt wielu ma przeciwników; z drugiej zaś — gruntowne wyświetlenie pytań, zawartych w tej części, nie nadaje się do dzieła popularnego. Tu bowiem naprzód należało rozstrzygnąć: czy w społeczeństwie panują *stałe* i zarazem *naturalne* prawa, czy też niezbadane wyroki opatrzności, czy wreszcie wolna wola jednostek a zwłaszcza „wielkich mężów;“ gdyż tylko pod warunkiem zgody na pierwsze przypuszczenie może być społeczeństwo przedmiotem umiejętnych badań. Taki dylemat nieda się zadawalająco rozwiązać w dziele popularnem. To też Spencer nie kusi się o to bynajmniej. A jednak uwagi jego w tym przedmiocie dostatecznie przemawiają za możnością socyologii jako nauki. Hypotezę rządów opatrzności w historyi, jako wyłączającą wszelką umiejętność wogóle przez zaprzeczenie praw przyczynowych, wspomina tylko mimochodem; a, nie puszczając się ani na morze metafizyki, ani też na krytykę podobnej hypotezy, wykazuje tylko w kilku typowych przykładach, zaczerpniętych z dzieł angielskich i francuskich pisarzów, jakie zasadnicze sprzeczności tkwią w takim poglądzie. Teorya „wielkich mężów,“ stanowiąca bardzo rozpowszechniony podkład filozoficzny w nauce historyi, jest już poważniejszem przeciwstawieniem umiejętności społecznej. Niewątpliwie: wodzowie, panujący, wielcy prawodawcy, itd. są potężnymi czynnikami społecznymi, skutki ich działań tak są widoczne w układzie społecznym, że rozwój społeczeństwa przedstawia się pozornie jako dzieło „wielkich mężów.“ Nie odmawiając znaczenia temu

*) W świeżym przekładzie polskim *Wstęp do socyologii* Warszawa Gebethner i Wolff.

Lecz Heine, sam drwiący ze swojego chrztu, nie należał do tej rasy obłudników, jakkolwiek mu to nie przeszkadzało, podobnie jak wszystkim niemcom, mieć względem swych współwyznawców przesądy i prześladować ich szyderstwami. Dowiedziawszy się, że jestem alzatczykiem, nie zaś niemcem, francuzem, nie zaś prusakiem, powinszował mi i rzekł:

— Możesz mię pan odwiedzać codziennie, możesz mię zapraszać na śniadania, kiedy ci się spodoba, *ale nigdy nie żądaj odemnie pieniędzy!* Bo naprzód, jak chłopkowie Henrykowi IV, który żądał odnich ...... odpowiem panu, że ich nie posiadam, że mam długi krzyczące, porządków milczących, a następnie zależy mi na tem, żeby nie stracić w panu przyjaciela. Ponieważ jesteś korespondentem *Swiata eleganckiego* w Lipsku i *Telegrafu* w Hamburgu, będę pana potrzebował i liczę na ciebie.

III.

Spróbuję naszkicować piękność Matyldy, mającej podówczas lat dwadzieścia i trzy. Przedewszystkiem, na pierwszy rzut oka, widziałem, że piękniejszą była od swego portretu; to też w tym duchu zrobiłem jej kompliment, za który mi była wdzięczna. Czy kto z mych czytelników widział fotogram posągu Fryne z Akademii sztuk pięknych w Madrycie? Rzec można. że za model służyła Matylda Heine. Jeżeli piękność plastyczna bez dystynkcyi może być doskonałą, piękność Matyldy stanowiła doskonałość samą. Była ona wykutą z marmuru. Jej zęby były piękniejsze, niż najbielsze perły Ofiru, a jak wszystkie kobiety o pięknych zębach, uśmiechała się co chwila, bo wiedziała nadto, że każdy uśmiech kopał dołeczek w jej policzkach — znamię dobroci, grób, w którym się zaprzepaszcza wszelka złośliwość. Uśmiech ten wyrażał się często i łatwo w śmiech, któremu towarzyszyło mrużenie oczu złośliwych, wyzywające, i śmiech ten dźwięczał jak dzwonek radości. Jej wargi tak były wiśniowe, że sądziłbyś, iż je malowała, jakkolwiek Matylda nie miała w sobie nic fałszywego, ani pudru, ani bielidła lub różu; nie posiadała zresztą buduaru, w którymby się ubierać mogła. Krótko mówiąc—świeże usteczka dziecka bez zarzutu. Co w jej wielkich, czarnych oczach było nadzwyczajnego, to spojrzenie, uśmiechające się i przenikliwe, rzekłbyś —księżyc, przezierający przez lekkie obłoki. Włosy niedługie, czarne—tem mocniej od nich odbijała białość jej cery. Podobnież ręka i noga. Głos jej był jasny, dźwięczny, melodyjny, wielki urok tkwił w tym głosie i ustach; kibić miała cudowną. Przez długi bardzo czas nie nosiła gorsetu, zupełnie go nie potrzebując i nie gniewała się bynajmniej, mimo wierności dla kochanka, gdy mogła uwidocznić swe wdzięki. Matylda miała tylko jeden brak, który mnie osobiście nie pozwoliłby pojąć jej za żonę, gdyby nawet posiadała miliony, a piękność jej była jeszcze daleko rozkoszniejszą, co zresztą nie było możliwem. Czoło jej, które winnoby być wysokie i szerokie, tworzyło owal. Nie widziałeś go. Kobiety znają bardzo dobrze swe przymioty i wady fizyczne. Mając przedział w pośrodku głowy, nosiła włosy w sposób zdradzający usiłowanie ukrycia tego niedostatku, ale przed prawdziwym znawcą kobieta nie może nic ukryć, zwłaszcza zaś składu czoła. Otóż wskazywało ono umysł dziecięcy, mało rozwagi, mało rozumu, lecz wolę upartą, bez prawdziwej energii, wyradzającą się często w tupanie nogami i płacz. A pomimo to, Matylda, daleka od złości, była dobrą aż do słabości, lecz lubiła sceny. Była zdolną w paroksyzmie bić siebie pięścią, a w dwie minuty potem złość jej tonęła we łzach i szlochaniu. Szlochała również łatwo przy śmierci swej papugi, jak przy zgonie matki. A sceny te ponawiały się często. Wówczas nie była już kobietą, lecz dzieckiem, i jak dziecko przewracała się na ziemię, tupała nogami i biła sama siebie. Uważając się poważnie za bardzo nieszczęśliwą, wywoływała spółubolewanie obecnych krzykiem i jękami. I, rzecz ciekawa, ale bardzo logiczna w tego rodzaju naturach: kiedy widziała w końcu, że nie litowa-

czynnikowi. Spencer zwraca uwagę, iż przedewszystkiem doniosłość jego powszechnie bywa przeceniana; gdyż tylko odnośnie do czasów pierwotnych, kiedy cała czynność społeczna wyczerpuje się w wojnach i odporze napaści, możnaby poniekąd słusznie wszystko przypisywać dzielności dowódcy; chociaż i dla tych nawet wypadków teorya „wielkich mężów“ nie jest wystarczająca, pomija bowiem zupełnie udział ich otoczenia. Najzupełniej zaś nie wystarczającą jest ona dla następnych, coraz wyższych form społeczeństw, w których zwolna i niepostrzeżenie powstają nowe organizacye, myśli, uczucia i nawyknienia niezależnie zupełnie od czynów osobistości naczelnych. Wszakże zupełna powierzchowność tej teoryi występuje wtedy, gdy rozpatrzymy pytanie, skąd biorą się owi wielcy mężowie. Jeśli bowiem—jak utrzymuje słusznie Spencer — nie chcemy zadowolić się wiarą w rządy Opatrzności i przypuścić, że wielcy mężowie są posłańcami bożymi, to nie nam nie pozostaje, jak zgodzić się na to, że powstanie wielkiego męża jest dziełem tych samych, odwiecznie działających sił, które wszelki objaw społeczny do życia powołują, że więc wielki mąż nie stoi ponad ogółem, lecz że jest tylko jednem ogniwem w łańcuchu zjawisk społecznych. To też najpotężniejszy geniusz musi być dopiero przez własne społeczeństwo wykształcony, żeby ze swej strony był w stanie je przekształcić. Powierzchowna jest nadto owa teorya i z tego względu, że zapomina, iż działalność wielkiego męża możliwa jest tylko przy uczestnictwie całego zasobu sił materyalnych i duchowych, które przeszłe pokolenia stworzyły, nagromadziły i potomnym w spuściźnie przekazały. Kto zjawiska społeczne objaśnia czynami, dokonanymi przez wielkich mężów z pominięciem olbrzymiego zapasu utajonych sił, przez jednostki tylko w ruch wprawianych, oraz nieprzejrzanego szeregu poprzedników, będących źródłem istnienia zarówno tych sił, jak i owej jednostki; ten w rozumowaniu swem nie różni się od człowieka, który, zdziwiony spustoszeniem, jakie spowodował armatni wystrzał, przypisuje je sile jednego ziarnka prochu, które wystrzał sprowadziło, a zapomina o całym naboju, bombie, armacie i o całej masie poprzedzających prac przygotowawczych, niezbędnych dla wydania takiego rezultatu. Ale jeśli w społeczeństwie ruch i życie odbywają się naturalnie, jeśli siły w niem działające nie są nadprzyrodzone, ani niezwykłe, jeśli rozwój nie jest wyłącznym dziełem osobników nadzwyczajnych, których powstanie i działalność w żadnym nie pozostaje związku z ich społeczeństwem i szeregiem poprzednich jego stanów, to rzeczywiście nie wyłącza ono możności badania go na podstawie ogólnych umiejętnych metod. Nie sprzeciwia się temu twierdzeniu okoliczność, że zjawiska społeczne są skutkami woli ludzkiej, a więc czynnika niedającego się obliczyć, a stąd nie pozwalającego robić żadnych uogólnień i wyprowadzać wniosków na przyszłość. Nieobliczalność woli bowiem nie jest bezwzględną, jak to nauka i praktyka wykazują. Toć t. z. ekonomia polityczna stanowi tylko system uogólnień objawów działalności zbiorowej woli w pewnym kierunku; a codzienne życie na każdym kroku przekonywa nas o jednostajności natury ludzkiej mimo najróżnorodniejszych przejawów indywidualizmu osobników: w normalnych warunkach wszyscy staramy się np. uniknąć grożących nam niebezpieczeństw, każdy usiłuje osiągnąć swe cele z najmniejszym wysiłkiem, itd. A jeśli powszechne życie osobników odbywa się z taką prawidłowością, to w społeczeństwie musi ona być jeszcze większą, gdyż sporadyczne odrębności działania, powstające z pobudek nadzwyczajnych, zacierają się wskutek masy pobudek zwykłych. W końcu jednostajność i prawidłowość działań ludzkich stwierdzają się w całem życiu państwowem i prawodawstwie, którcby nie były możliwemi, gdyby zbiorowa wola nie podlegała prawu przyczynowemu. „Jeżeli — powiada H. Spencer — zbiorowe czynności ludzkie nie podchodzą pod prawo naturalnych przyczyn, te postanowienia parlamentu mogłyby być wydawane przez losowanie albo przez grę w reszkę i orła, albo raczej nie potrzebaby wcale ich wydawać: skoro między społecznymi skutkami a przyczynami niema żadnego stałego następstwa, przeto na żadne skutki liczyć nie można.“

Nie o *możność* więc socyologii, lecz o stopień jej *ścisłości* spierać się trzeba. Stopień zaś ten w każdej nauce zależy z jednej strony od samego przedmiotu badania, a mianowicie od tego, co w nim da się uogólnić, a z drugiej —od jego stosunku do metod umiejętnych t. j. od podatności stosowania tych metod do samego przedmiotu.

Niewątpliwie, w żadnej dziedzinie otaczającego nas świata niema tylu paradoksalnych, na pozór niezwykłych i niespodziewanych zjawisk, co w życiu społeczeństw; a jak zwodnicze są powszechnie wszelkie wróżby polityczne, każdemu wiadomo. Z tego niezbitego faktu nie należy jednak wyprowadzać wniosku, żeby społeczeństwa nie dostarczały i takich zjawisk, któreby można było podciągnąć pod jakieś ogólniejsze prawa. Toć i najściślejsza umiejętność konkretna szczegółów nie przywiduje; toć mechanika, najwyżej stojąca w tym względzie, nie daje nam np. środków odgadnięcia wszystkich drobiazgów wybuchu miny prochowej. Nie objaśni nas przecież, co się stanie z każdą cząstką ziemi, wyrzuconej przez minę, a jednak posiadamy w niej bardzo poważną sumę ogólnych przewidywań. Jakież więc są w społeczeństwie owe dane, które są dostępne uogólnieniu za pomocą metod umiejętnych? gdzież szukać takich faktów społecznych, które dadzą się podporządkować pod pewne prawa? Na pytanie to odpowiada H. Spencer analogią, dającą się łatwo przeprowadzić między życiem osobnika a społeczeństwa. W pierwszem można rozróżnić dwa szeregi zjawisk nie równe posiadających znaczenie dla ścisłej umiejętności. Pierwszy składa się z faktów biograficznych, tak indywidualnych, tak zawiłych w zależnościach przyczynowych, iż niepodobna ich zawrzeć w żadne ogólne — ściślejsze lub szersze — reguły, gdyż albo ich zupełnie przewidzieć niepodobna, albo też w bardzo niedokładnym stopniu. Drugi zaś szereg przedstawiają fakty biologiczne (cielesne i duchowe), tak powszechne i w przyczynowych związkach tak przejrzyste, że dadzą się ułożyć w pewien system uogólnień, którym nikt nazwy umiejętności nie odmawia. Takie dwa szeregi łatwo również dostrzedz i w życiu społeczeństw. Jeden z nich, niedopuszczający uogólnień, stanowi przedmiot historyi, drugi — socyologii. „Tak samo jak człowiek — powiada H. Spencer — jest obdarzony pewnymi organami, funkcyonującymi w pewien sposób i umożebniającymi czyny, które opisuje biograf, tak samo i społeczeństwo ma pewne organa i spełnia pewne funkcye, przy pomocy których powstają fakta, zapisywane w historyi: w obu wypadkach te organa i te funkcye właśnie, a zwłaszcza ich powołanie, rozwój i upadek, stanowią przedmiot umiejętności.“ Słowem, podobną rolę, jaką odnośnie do ustroju cielesnego istot żyjących spełnia fizyologia ogólna i morfologia, podejmuje

---

no się nad nią, nie brano żadnego udziału w jej boleściach sztucznych i przesadnych, zaczynała sama śmiać się, a ponieważ jej było z tem do twarzy wobec tego, że śmiech ten wywoływał powabne falowanie jej piersi i boskich bioder, nie można go było brać jej za złe. Małżeńskie te sceny kończyły się zwyczaj gwałtownem pojednaniem, przerywanem wybuchami homerycznego śmiechu. Wskutek właśnie takiego charakteru Heine nazywał Matyldę: *moją dziką kotką*. I rzeczywiście w swych ruchach i pieszczotach miała coś kociego. Jej skoki z jednej ostateczności w drugą, tak nieprzyjemne na pozór, zamiast wywołać znudzenie, trzymały w naprężeniu i nie dawały spocząć namiętności. Tem więcej też kochał ją Heine, jakkolwiek obchodził się z nią niekiedy jak ze źle wychowaną dziewczynką a nawet jak z ulubionem zwierzątkiem, które się poprawia klapsem.

Gdy po raz pierwszy zapytał mię o zdanie co do Matyldy, oświadczyłem mu:

— Fizycznie — podobna jest do Maryi Stuart, *minus*, spodziewam się, jej ułomności i zbrodnie.

— Zdaje mi się —odparł—że nie jest podobną do żadnej z postaci znanych... Jest zupełnie oryginalną i *sui generis*. Dlatego ją tak kocham. Ze swą naturą gwałtowną nie skrzywdziłaby nawet kota. Ubóstwia zwierzęta, a nadewszystko papugi i nie czytuje romansów. Wydałem przeszło dziesięć tysięcy franków na wyuczenie jej czytania i pisania, bo kiedym ją wziął, nie nie umiała. Marya Stuart była zazdrosną. Matylda nią nie jest.

Nie odpowiedziałem nic, lecz w miarę jak studyowałem charakter tej oryginalnej kobiety, przychodziłem do przekonania, że pomimo jej kokieteryi i pragnienia być ubóstwianą, była zimną i nie kochała swego oblubieńca z taką, z jaką on ją kochał namiętnością, że w rzeczywistości nie kochała żadnego mężczyzny, przynajmniej ja takiego nie znałem. Pewnego dnia (uprzedzam wypadki), była już wówczas zamężną i mieszkała przy ulicy Bleue; Heine, zazdrosny o miłość swej żony dla papugi, którą ubóstwiała, rzekł do mnie:

— Otruję papugę, ależ na Boga, nie mów pan Matyldzie, bo zginąłbym na wieki w jej umyśle!

Kupiłem tedy trucizny i wręczyłem mu ją pokryjomu. Dnia tego obiadowaliśmy razem na mieście, w restauracyi. Kiedyśmy powrócili na rue-Bleue, (Heine bowiem przewidziawszy scenę, prosił mię, abym razem z nimi zaszedł do domu), Matylda, ujrzawszy swą papugę nieżywą, wydała krzyk straszny, prawdziwy krzyk serca, a następnie zaniosła się i jak gdyby prócz niej nie było nikogo, wobec swego męża i mnie, potoczyła się na posadzkę, szlochając i krzycząc:

— *Teraz jestem sama na świecie!*

Parsknęliśmy śmiechem.

— Jakto! — zawołał Heine — więc ja dla ciebie niczem!

Wówczas zerwała się nagle i przybrawszy postawę Alicyi wobec Bertrama, odpowiedziała mu:

— Niczem! Niczem! Niczem!

Heine śmiał się dalej, lecz ponieważ przewidywałem silną scenę małżeńską, widziałem już bowiem kilka bójek i wywracań się na podłogę, umknąłem. Nazajutrz pokój był zawarty, ale te słowa: „Teraz jestem sama na świecie!“ które jej się mimowoli wyrwały z serca, jak źródło ze skały, w ciągu długich lat stanowiły przedmiot naszych obiadowych gawęd. Pani Heine nie dowiedziała się wcale, że mąż otruł jej papugę. Nie wybaczyłaby mu tego nigdy. Ale on, po upływie dni ośmiu, kupił jej inną, mniej ładną wprawdzie i znacznie tańszą, dla której nie żywiła już tej samej namiętności wyjątkowej.

(D. c. n.)

socyologia odnośnie do ustroju społeczeństw.

(D. c. n.).

NOWA DZIEDZINA FIZYOLOGII.

Czytelnicy *Prawdy* przypominają sobie może, iż w roku zeszłym, mówiąc o prądach nowoczesnej biologii *), zaznaczyliśmy rozwój fizyologii porównawczej w ostatnich kilkunastu latach. Funkcye życiowe, które badano dawniej przeważnie u zwierząt wyższych, poczęto w ostatnich czasach obserwować i u zwierząt niższych, a dążenie do porównania otrzymywanych wyników i do wyprowadzania stąd ogólnych wniosków zaczęło występować coraz wyraźniej. Jak morfologia (nauka o budowie zwierząt) olbrzymimi krokami posunęła się naprzód od czasu, gdy metoda porównawczego badania ustroju różnych grup zwierzęcych pierwszorzędne w biologii zajęła miejsce, tak też i od fizyologii porównawczej, rozpoznającej funkcye zwierzęcego życia, nauki zaledwie jeszcze w kolebce będącej, obfitych plonów spodziewać się możemy.

Wiadomo każdemu, obeznanemu cokolwiek z naukami przyrodniczemi, jak ważną gałąź morfologii zwierzęcej stanowi embryologia (historya rozwoju zwierząt). Ona wyjaśniła nam znaczenie i budowę wielu organów dojrzałych zwierząt, ona pozwoliła nam zrozumieć ideę, że tak powiem, organizacyi zwierzęcej, ona dała nam możność odnalezienia genealogicznego stopnia pokrewieństwa pomiędzy rozmaitemi grupami zwierząt i dostarczyła wspaniałych i niewzruszonych dowodów dla teoryi rozwoju.

Aż dotąd jednak embryologia zwierząt stała wyłącznie prawie na gruncie czysto morfologicznym. Odsłaniano rozwój różnych organów, szukano podobieństwa i różnicy w sposobie ich powstawania, starano się prawami dziedziczności i przystosowania objaśnić zmiany w budowie zarodków zwierzęcych, a w ostatnich dwu, trzech latach pod wpływem znakomitej rozprawy braci Hertwigów *Die Coelomtheorie***) oraz pracy prof. Waldeyera *Archiblast und Parablast* rzucono się do badań porównawczych nad rozwojem tkanek zwierzęcych (histogeneza), gdzie otwiera się dla uczonych szerokie pole do nowych, niezmiernie ważnych i ciekawych poszukiwań.

Fizyologicznych funkcyj płodu aż dotąd wcale jednak nie rozbierano specyalnie, lecz tylko tu i owdzie przy sposobności, że tak powiem, opisując rozwój organów, powierzchownie zatrzymywano się i nad ich czynnościami. Fizyologia dzisiejsza nie zajmuje się ani funkcyami organów, ani też nie zadaje sobie pytania: jak same funkcye się rozwijają? Tymczasem, jak organ, tkankę lub komórkę dopiero wtedy zdołamy zrozumieć, gdy powstawanie ich jest nam wiadomem, tak też i czynności życiowe tylko przez własną ich historyę rozwoju należycie pojęte być mogą. Z powodu tego zaniedbywania owej historyi przez fizyologów, jak słusznie zauważył E. Haeckel, wytłomaczyć sobie możemy to małe często zainteresowanie się i to tak spaczone nieraz pojęcie teoryi ewolucyi, jakie znamionuje wielu wybitnych nawet badaczów. Rzeczywiście, to tylko nam objaśnia takie np. poglądy na granice naszego poznania, jakie wygłosił znakomity fizyolog Du Bois-Reymond w sławnej swej mowie na zebraniu naturalistów w Lipsku (1872). Każdy myślący przyrodnik zgodzić się z nim musi na to, iż człowiek w dotychczasowej dobie rodowego rozwoju posiada pewne granice duchowej swej działalności, ale każdy ewolucyonista, przekonany o bezustannej, powolnej przemianie organicznego świata, biorący pod uwagę olbrzymie okresy czasu, wobec których tradycyonalna historya naszego rodu jest niczem, spoglądający na stan umysłowy najbliższych przodków naszych, od których dzikie rasy ludzkie niewiele pod względem duchowego życia naprzód postąpiły—taki naturalista stanowczo na dogmatyczne „ignorabimus" Du Bois-Reymonda przystać nie może.

Każdy, kogo gorąco interesuje postęp ludzkiej myśli, z niewypowiedzianem zadowoleniem przywita świeżo wydane dzieło znanego fizyologa, jenajskiego prof. Preyera *Specielle Physiologie des Embryo*, stanowiące owoc pierwszych w nauce specyalnych poszukiwań nad funkcyami płodu. Ten ze wszech miar ciekawy zwrot w fizyologii wyraża nowy, piękny tryumf nauki, wdzierającej się w najbardziej przed okiem naszem ukryte tajniki życia.

Badania zjawisk życiowych zarodków należą do niezmiernie trudnych, naprzód dlatego, że materyał obserwacyjny jest stosunkowo rzadki, powtóre, że niezmiernie uciążliwem jest wykonywanie doświadczenia nad płodem, wskutek maleńkich zwykle rozmiarów przedmiotu i nadzwyczajnej jego wrażliwości na różne wpływy zewnętrzne, łatwo mogące spowodować jego śmierć, wreszcie dlatego, iż znajomość nasza histologicznej budowy tkanek zarodka, niezbędna dla fizyologii, nader jest słabą.

Fizyologiczne poszukiwania nad ludzkim płodem są wielce utrudnione obawą narażania jego życia i życia matki. Możnaby otrzymać pewne rezultaty ze spostrzeżeń, dotyczących np. działalności serca, oddychania, trawienia itp. u noworodków, szczególnie zaś niezupełnie jeszcze rozwiniętych, za wcześnie na świat przybyłych. Ale byłyby to tylko dane oderwane, niedostateczne, a z drugiej strony, jak słusznie powiada Preyer, warunki życia płodu przed urodzeniem i noworodka tak dalece są różne, że z funkcyj tego ostatniego nic prawie sądzić niepodobna o funkcyach pierwszego. Te różnice szczególnie wyraźnie występują u płodu ludzkiego. Zmiany, następujące w chwili urodzenia, tak są nagłe i wielkie, jak nigdy w życiu, i dziwić się rzeczywiście należy, iż tyle osobników szczęśliwie i bez szkody dla siebie przebyć może tę chwilę. „Przedtem— powiada Preyer — osobnik jest otoczony płynem i pozbawiony powietrza tak, że dostęp jego wystarcza nawet do zabicia, później nie może on chwili bez powietrza atmosferycznego wyżyć; przedtem pokarm dostarczany mu był bez wszelkiej pracy wprost do krwi, później musi on przechodzić przez usta, żołądek, jelita i ulegać dopiero trawieniu; przedtem żyje w absolutnej ciemności, później w świetle; przedtem w nieprzerwanej ciszy, potem w szumnem otoczeniu; przedtem wciąż w jednakiem cieple, później w zimnej atmosferze, której temperatura ciągłym ulega wahaniom."

Wobec niemożności przeprowadzania doświadczeń fizyologicznych nad płodem ludzkim, zwrócono się do zwierząt ssących (psów, kotów, królików, świnek morskich, szczurów białych). Ale i tu o obfity materyał trudno, gdyż po największej części wraz z zarodkiem poświęcić musimy i matkę. Inna znów niedogodność tkwi w oznaczeniu dokładnie wieku zarodków; z wielkości bowiem i wagi ciała ściśle wnioskować o wieku niepodobna, a czas, w którym jajeczko zaczęło się rozwijać, także nie łatwo określić. Przy doświadczeniach fizyologicznych nad płodem zwierząt ssących otwiera się łono żywej samicy, obnaża się zarodek, tak jednak, by naczyń, za pomocą których krew matki przenika do ciała zarodka i odżywia go, nie przerwać. Ponieważ wpływ powietrza i wahań temperatury otaczającej mógłby zabić płód, ten ostatni umieszcza się w lekkim roztworze soli kuchennej, ogrzewanym stale do temperatury krwi. Doświadczenia te jednak, jak łatwo przewidzieć, niezmiernie są trudne i wymagają nadzwyczajnych ostrożności.

Dlatego też za najpraktyczniejsze do tego rodzaju poszukiwań uważa Preyer zarodki ptaków (np. kurcząt). Materyał ten okazuje się najodpowiedniejszym z kilku względów. Przedewszystkiem możemy go mieć w wielkiej obfitości, powtóre łatwiej wykonywać na nim doświadczenia, ponieważ w żadnej nie pozostaje zależności od organizmu matki, co zachodzi w zarodkach zwierząt ssących, wreszcie bardzo łatwo można tu oznaczać z największą ścisłością wiek. Dla osięgnięcia tego celu należy jaja kurze sztucznie wylęgać w specyalnych przyrządach, bardzo często do tego używanych. Tu jednak nowa zachodzi przeszkoda. A mianowicie, zarodki ptasie, szczególnie młode ich stadya, tak są drobne, iż trudno je poddać badaniu. Pewnych jednak spostrzeżeń fizyologicznych (np. co do ruchów serca i krwi, poruszeń samego ciała zarodka itd.) można dokonać za pomocą nader dowcipnego przyrządu, przez Preyera zbudowanego —t. z. embryoskopu. Urządzenie jego polega w ogólnych zarysach na tem, iż jajko wraz ze skorupą nawet umieszczamy w pewnem miejscu i przepuszczamy przez nie pęczek bardzo silnego światła, zebranego za pomocą soczewki; obraz pada na umieszczone poniżej pod kątem ostrym lustro, a odbijające się stąd promienie przechodzą przez powiększający okular do oka obserwatora. Tym sposobem można doskonale i stopniowo oglądać rozwój zarodka, począwszy od trzeciego dnia, na jednym i tym samym osobniku. Około jedenastego już wszakże dnia, z powodu zbyt silnego zgęszczenia tkanek embryonalnych, obserwacya staje się prawie niemożebną, gdyż obrazy zanadto są ciemne i niewyraźne.

Preyer zamierzał początkowo przedstawić ogólną fizyologię zarodka, ale ubóstwo faktycznego materyału w tej dziedzinie biologii nie pozwala jeszcze teraz rzeczywiście żadnych ogólnych wyprowadzać wniosków. Dlatego też zadawala się on tylko specyalną, pewne funkcye traktującą fizyologią płodu. W pierwszym zeszycie tej ciekawej pracy mówi o krążeniu krwi i oddychaniu.

W następujących zeszytach obiecuje podać fizyologię wydzielin, ciepła, ruchów, wrażliwości i wzrostu. Co do najbardziej interesującej części, a mianowicie fizyologii mózgu i nerwów (tj. wogóle funkcyj psychicznych), to rzecz tę przedstawił już Preyer w dziele swem jeszcze w r. 1882 wydanem (*Die Seele des Kindes*), gdzie wskazuje najpierwsze ślady powstawania różnych psychicznych objawów u noworodka i dalszego ich rozwoju u dziecka. Wkrótce ma się pojawić nowe wydanie tej pięknej pracy, z którą niecomieszkamy czytelnika zapoznać.

Zadanie obu dzieł polega na zbadaniu początku funkcyj życiowych u człowieka i zwierząt wyższych, na zastosowaniu fizyologicznych metod badania do zjawisk rozwoju i na wykazaniu olbrzymiego znaczenia takich genetycznych poszukiwań dla fizyologii, morfologii, patologii i psychologii.

Zaznaczywszy tedy nowy zwrot w postępie współczesnej fizyologii, zwrot ku embryonom, chcę jeszcze zwrócić uwagę czytelnika na olbrzymią doniosłość do-

---

*) Nr. 5.

**) W pracy tej Hertwigowie rozwiązują kwestyę powstawania t. z. środkowego listka zarodkowego zwierząt i wykazują, że anatomiczna i histologiczna budowa różnych organów i tkanek jest w ścisłym związku ze sposobem jego rozwoju. Prof. Waldeyer stawia według tego nowy podział tkanek (archiblastyczne i parablastyczne). Czytelnika, który zainteresowałby się temi niezmiernej wagi naukowej pracami, odsyłamy do rozpraw naszych, drukowanych w 1882 i 83 r. w *Kosmosie* lwowskim.

ciekań w tym kierunku dla całej biologii.

Wiadomo, w jak ścisłej zależności wzajemnej pozostają organy i ich funkcye. Jeśli będziemy wykonywali bardzo często ruchy ręką, mięśnie jej się powiększą, zmiana w czynności wywołuje więc tu i zmianę organu. Hunterowi udało się u mewy morskiej, którą w ciągu roku całego karmił ziarnem, zmienić wewnętrzne ścianki żołądka ze śluzowatych na rogowe, Holmgren zaś naodwrót potrafił zmienić u gołębi zrogowaciałe, do trawienia ziarn służące ścianki żołądka na miękkie, karmiąc te ptaki przez długi czas mięsem. Widzimy tu wszędzie, jak zmiana funkcyj oddziaływa silnie na zmianę organu. Na odwrót zaś, znamy mnóstwo wypadków patologicznych, przy których pewne zmiany (np. uszkodzenia) w organach natychmiast wywołują i zmianę ich funkcyj. Skoro więc tak ścisła istnieje zawisłość wzajemna pomiędzy organem i funkcyą, rodzi się tedy nadzwyczaj ciekawe, głębszego znaczenia naukowego pytanie: czy przy rozwoju organizmu funkcye odpowiednie występują w ślad za tworzącym się organem, czy też pojawienie się śladów nowej funkcyi wywołuje odpowiednie zmiany morfologiczne, czy też organy i funkcye występują w rozwoju swoim zupełnie jednocześnie, a w takim razie jaki istnieje stosunek pomiędzy siłą tej zależności wzajemnej i wzrastającym różnicowaniem się organów czyli wzrastającą komplikacyą ich budowy?

Na wszystkie te, głęboko filozoficzne pytania, przyszłe prace w tej dziedzinie nauki dadzą może odpowiedź.

Inne, również wielkiej wagi nastręczające się tu pytanie. Historya rozwoju wykryła, jak wiadomo, że kolejne zmiany w ustroju, jakim ulega zarodek pewnego gatunku zwierząt, odpowiadają tym kolejnym zmianom ustroju, jakim ulegali przodkowie tego gatunku od form najprostszych do coraz wyżej uorganizowanych. Otóż, powstaje pytanie, czy i dla funkcyj fizyologicznych istnieje podobna równoległość w rozwoju osobnikowym (zarodkowym) i rodowym zwierząt, jaka znana jest dla rozwoju organów nowych, czy to zjawisko ma tylko znaczenie morfologiczne, czy też i fizyologiczne? Niektórzy powierzchowni badacze (np. dr. C. Krukenberg) twierdzą *) stanowczo, iż to t. z. biogenetyczne prawo rozwoju (E. Haeckel) funkcyj wcale się nie tyczy. Ale rzeczywiście, kto czytał dowody, jakie uczony ten daje na usprawiedliwienie swego twierdzenia, ten podziwiać musi powierzchowność jego sądów. Przy obecnym stanie fizyologii płodu nie może być wcale mowy o ostatecznem rozwiązaniu tego ważnego dla całej biologii pytania. Pusta jeszcze prawie skarbnica tej zaczynającej dopiero otwierać się dziedziny nie dostarcza nam jeszcze dostatecznej ilości faktów dla rozwiązania zagadki. Ale wiedza biologiczna za naszych czasów dziwnie szybkim krokiem idzie naprzód; fakty gromadzą się prędko, a z nimi i ogólniejsze pytania coraz bardziej się wyświetlają.

Józef Nusbaum.

JASEŁKA KRAKOWSKIE.

Parę słów do czytelnika. — Tablica w sali radnej. — Zgromadzenie publiczne w sprawie decentralizacyi kolejowej. — Debiut p. Jordana i komisyi. — Obmycie z grzechów niewinnej istoty. — Co słychać w Krakowie? — Notatka z dzienników miejscowych.

Jak syn marnotrawny, powracam do was, czytelnicy, ze skruchą w sercu i na ustach, pewny, że wybaczycie mi łaskawie dłuższą przerwę. Gdy nadchodziły święta Bożego narodzenia, pragnąłem was udarować choćby nutą jakiej starej kolędy — potem pragnąłem zjawić się z Nowym rokiem, potem na Trzech króli i jako przykładny współpracownik, przynieść wam w darze za odnowienie przedpłaty: mirrę, kadzidło i obietnic złoto.

Chwalebne to wszakże przedsięwzięcie nie łatwo przyszło wykonać. Zwlekałem z dnia na dzień, z godziny na godzinę — aż wreszcie znowu zapadłem w marzycielską drzemkę, rozmyślając filozoficznie z Szekspirem nad tem, dlaczego w grupie gwiazd siedmiu niema gwiazd więcej, tylko siedm?

Nakoniec — piszę, a najprzód proszę cię z sobą czytelniku do sali radnej, gdzie redakcya *N. Reformy* jeszcze w d. 23 grudnia przygotowała zamach na rząd austryacki, niepomna ani na obu ministrów rodaków, ani na Laenderbank, ani na wszystkich hrabiów, pełniących w wiedeńskich przedpokojach rolę lokajów. Jak słyszę, w jednej ze ścian tej sali ma być wmurowaną marmurowa tablica z następującym napisem: „Tu w d. 23 grudnia 1883 r. poskromił obywateli państwa konstytucyjnego, spokojnie radzących nad dobrem swego kraju, komisarz c. k. policyi, w czem poparł go dr. Henryk Jordan, a co się do wdzięcznej pamięci potomności podaje.“ Dla lepszego zrozumienia treści napisu, postaram się go bliżej wyjaśnić.

Redacya *N. Reformy*, mając na względzie doniosłość dla kraju sprawy t. z. decentralizacyi kolejowej — zwołała na dzień 23 grudnia do sali radnej zebranie publiczne dla uchwalenia i wystosowania petycyi do Koła polskiego we wspomnianej sprawie, którą pierwszy raz poruszył Smolka jeszcze na Sejmie w r. 1865. Od tego czasu, pomimo wielu uchwał, nie pomyślano w Wiedniu o niczem, ponieważ nasza delegacya słynie z... energii. Sejm ciągle „uchwala“ i „wzywa rząd,“ a rzeczy jak stały, tak stoją — nawet język polski, jak był wygnańcem na kolejach galicyjskich, tak i nadal pozostaje. Nie przeczę, że starania *N. Reformy* mogą się rozbić o anemiczność delegacyi w Wiedniu, przyznaję, że „sprzyjający nam rząd“ może sobie postąpić wbrew wszelkim prawom i życzeniu kraju, jak to umie — ale czyż dlatego mamy ustawać w zabiegach? Więc lepiej nic nie robić, niż to, co w naszej mocy? Niesądzę! A jednak znaleźli się tacy, którzy utkwiwszy wzrok filozoficznie w błękicie, z dobrodusznym uśmiechem wzruszali ramionami na zgromadzenie.

Stańczykowski obóz poszedł jeszcze dalej i powitał obradujących pełną szlachetnych motywów — kocią muzyką. Po części nałóg płaszczenia się przed rządem, po części, a raczej głównie myśl, że *N. Reforma* coraz szersze pozyskuje wpływy, przyprawiła o taką wrzawę tych dżokiejów z wiedeńskiego toru. Pod ich dowództwem, odznaczająca się smutną odwagą, pomaszerowała porządna *Gazeta krak.*, ale o najmitach dziennikarskich i awanturnikach ulicznych, wybijających szyby w oknach tam, gdzie widzą uczciwą pracę, a także o maruderach niezadowolonych z wszystkiego, co nie od nich wychodzi, chyba poważnie mówić nie można i brać ich w rachubę. *Czas* z powodu zgromadzenia w taką popadł niepoczytalność, że omal nie zawołał: „Ty, kto jesteś — nie rżnij szlachty!“ Na zarzuty jego o „szkodliwej agitacyi,“ o „pobudzeniu do czujności wrogich nam żywiołów,“ o „miłej gwiazdce dla *Neue fr. Presse*“ doskonale odpowiedziała *Gazeta narodowa*. „Nie należało żadną miarą — są jej słowa — atakować zgromadzenia, bo z pewnością dla *Neue fr. Presse* nie może być właśnie większej radości, jak gdy się dowie, że są polacy, którzy potępiają polaków za upominanie się o decentralizacyę. Czyż do tego już przyszło, ażeby miało być grzechem obywatelskim głośno i otwarcie solidaryzować się w jakiejś sprawie publicznej z uchwałami Sejmu? Czyż dlatego, że ten lub ów organ giełdziarski w Wiedniu napisze z tego powodu gniewny artykuł, my powinniśmy milczeć?

Na przekór wszelkim knowaniom, zgromadzenie przyszło do skutku, odznaczało się wielką liczbą obradujących i petycyę do Koła wystosowano. Zgromadzenie jednak nie minęło bez przykrego epizodu, który bardzo ciekawe światło rzuca na stosunki nasze. Pierwszy z końcowych ustępów petycyi: „Wysokie Koło raczy z całym naciskiem domagać się od rządu utworzenia głównej dyrekcyi galicyjskich kolei skarbowych z siedzibą w kraju, tudzież zaprowadzenia w zarządzie tych kolei języka polskiego jako urzędowego“ — zawierał jeszcze słowa, że niech Koło „wykonanie tego życzenia kraju przedstawi rządowi jako warunek dalszego popierania go ze swej strony.“ Był to rzeczywiście zwrot zbyt stanowczy. Komisarz policyi twierdził nawet, że tkwi w nim zamach na swobodę posła i w myśl służących mu praw, zażądał pod groźbą rozwiązania obrad, cofnięcia powyższych słów. Cofnięto. Nikt wszakże nie przypuszczał, że znajdzie się w sali radnej człowiek, co jeszcze dalej pójdzie, niż urzędnik policyi. Niestety, znalazł się, a był nim dr. Henryk Jordan — postępowiec. Szan. ten obywatel wystąpił nietylko przeciw formie petycyi, ale nawet przeciw niej samej, uznał zgromadzenie nietylko za niepotrzebne, ale nawet szkodliwe, zauważył, że „cóżto byłby za rząd, któryby podobne parcie na siebie ścierpiał (!!)“ i pragnął swe wielce niemądre myśli polityczne wszczepić w zebranych, lecz

...„Krótkość czasu była na zawadzie,
Że się nie stało zadość Buchmanowej radzie!“

Tu — słówko o p. Jordanie. Przepraszam najmocniej czytelników, że zajmuję ich uwagę tak nieznaną osobistością, ale w imię miłości bliźniego muszę ją obmyć z grzechu. Dr. Jordana już od dłuższego czasu uważają niejedni za zbiega z postępowego obozu. Ja nie podzielam ich zapatrywań; według mnie on sam biedak nie wie, czego chce i stąd raz nadziewa liberalną krakuskę, drugi raz pobrzękuje czapką z dzwonkami. Faktem jest tylko, że chciałby, ażeby o nim mówiono, ażeby nazwisko jego przebiegało w kraju z ust do ust — tak przynajmniej z jego różnych niefortunnych debiutów sądzić można. Czy zaś p. Jordan będzie stańczykiem, czy postępowcem, w mojem przekonaniu jest to wszystko jedno, nikt na tem nic nie straci i nie zyska, chyba położnice stracą w nim zdolnego lekarza-specyalistę. Wprawdzie dr. Jordan oddawna już czuje skłonność do mandatu poselskiego i wzdycha za nim w cichości swego ducha, co do mnie jednak, dałbym mu głos wtedy tylko, gdybyśmy grali teatr amatorski. We Lwowie takich jak on, nazywają „pomylonymi“ — i to najlepiej rzecz określa.

Chciałbym jeszcze dzisiaj przesłać czytelnikom wiązankę innych wiadomości, drobniejszych, ale doprawdy brak ich zupełny. Dotychczas nawet karnawał, festyny na lodzie i reduty nie nastręczają materyału dla feljetonów *Czasu*, który z tego powodu miał podobno prosić p. Sienkiewicza o napisanie jeszcze czwartego tomu powieści *Ogniem i mieczem*. Daremnie od paru tygodni przerzucam pisma krakowskie, nic w nich co do spraw miejscowych nie dostrzegam godniejszego uwagi. Oto co w ich kronice, wziętej razem, znajduję każdego wieczora, a co prawie w oryginale podaję:

Hans Reichsposttinte, c. k. urzędnik pocztowy w Mogilanach, przybył dzisiaj do naszego miasta z żoną, kucharką i trojgiem dzieci. Dostojny gość zabawi tutaj przez dwa dni. Przed południem był

*) *Vergl physiol. Studien*, II Abth.

się golić w zakładzie fryzyerskim przy ulicy Sławkowskiej a w południe jadł obiad.

Uznanie prasy. Dyurnista sądu delegowanego w Krakowie p. Feliks Niewolnicki przeniesiony został z pierwszego piętra tegoż sądu — na drugie. Nareszcie artykuły nasze o sądownictwie odnoszą pożądany skutek.

Rezygnacya. Jak się dowiadujemy, p. Weinstock nie przyjmie proponowanej mu posady woźnego w magistracie. Nadmieniamy, że p. Weinstock ma skład win *en gros* i mieszka przy ulicy X. Nr. X. — wejście od tyłu, drzwi na prawo.

Eufemia Brzdąkalska, matrona polska, znana z surowości obyczajów, cnoty i gorącego patryotyzmu, rozstała się wczoraj z tym światem. Jeszcze onegdaj kupowaliśmy u niej jabłka, które teraz, o ile wiemy, sprzedawać będzie jej córka. Śmierć przedwczesna wyrwała ją z naszych objęć. Pokój popiołom tej zacnej duszy, która liczyła dopiero niespełna 73 lat.

Komitet balu św. Wincentego a Paulo rozpoczął znowu przerwane chwilowo czynności ze zdwojoną a podziwu godną energią. Nie wątpimy też, że światli mężowie, stojący na czele komitetu, bal ten postawią w rzędzie najpierwszych i dowiodą, że w kraju naszym nie wygasł dotąd patryotyzm i miłość ideałów. Słyszymy, że podczas balu Finio Trawiński odtańczy oryginalną kaczuczę, a jak nam mówią, taniec św. Wita także mieć będzie swych reprezentantów.

Pogrzeb śp. Dominika Migdalskiego odbył się dzisiaj popołudniu. Za pogrzebem postępował zaszczytnie znany w naszem mieście p. Migdziński, fabrykant pierników — co z przyjemnością podnosimy.

W kościele OO. Kapucynów pobłogosławiony został związek małżeński między hr. Kalikstem Augustem, dwojga imion, Kukalskim, synem hr. Kukalskiego a hrabianką z Wątorskich Klabzdralską. Publiczność w kościele była silnie wzruszoną widokiem dostojnej pary, a O. Gaudenty rozrzewnił wszystkich swoją krótką ale serdeczną przemową.

Radosną wiadomością pospieszamy podzielić się z naszymi czytelnikami — Jędrek Zbik już pod kluczem. Przytrzymał *takowego* i odprowadził do *ubikacyj* miejskich organ policyjny Nr. 3, który *przedłoży* go dotyczącej władzy.

Omal nie katastrofa. Wczoraj na Kazimierzu jednemu z *zaśniętych* mieszkańców zapaliły *się* suszące *się* przed piecem onóczki i pierzyna. Dzielna nasza straż pożarna z p. Gminowiczem na czele, przybywszy na miejsce wypadku, zapobiegła dalszej katastrofie.

Doły kloacz...
O dosyć!

Prawdzic.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Bronisław Chlebowski. **Jan Kochanowski w świetle własnych utworów.** Warszawa.

Praca ta, drukowana urywkami w fejletonach *Gazety polskiej*, nie zwróciła na siebie należytej uwagi, na którą ze wszech miar zasługuje. Dziś, gdy wyszła w odbitce, możemy odpowiednio ją ocenić. Trzechsetletnia rocznica śmierci Kochanowskiego, oprócz kilku wydań jego pism, wywołała mnóstwo studyów nad życiem i dziełami pierwszego polskiego poety; są to wszakże niemal wyłącznie prace bibliograficzne, tuche objaśnienia pojedynczych utworów albo szkice biograficzne. Dopiero książka p. Chlebowskiego wypełnia brak i daje nam sumienną a świetną charakterystykę czarnoleskiego wieszcza. Tradycyjnie przedstawiamy sobie Kochanowskiego jako cichego, skromnego śpiewaka, wielbiciela spokoju i złotej mierności. Przeciw temu zapatrywaniu, którego przedstawicielem w nowszej krytyce jest prof. Tarnowski, oraz przeciw zdaniu Spasowicza, uważającego poetę jedynie za szczęśliwego naśladowcę obcych autorów występuje p. Chlebowski. Wykazuje on bezpodstawność obu tych poglądów i odtwarza postać Kochanowskiego różną zupełnie od dotychczas znanej, mniej wyidealizowaną, ale sympatyczniejszą, bo prawdziwszą. Uwagi godna metoda krytyczna autora. Zupełnie słusznie uważa on, że najlepszych podstaw do charakterystyki dostarczają własne pisma poety, a przynajmniej w tym samym stopniu, co listy i dokumenty; w nich szczerzej nieraz odbijają się jego uczucia i przekonania.

Wizerunek Kochanowskiego rysuje p. Chlebowski na tle epoki i nurtujących ją prądów, uwzględnia przytem szczegóły rodzinne, bez snucia drobiazgowej genealogii, uwydatniając zarówno fizyczne wpływy miejscowości i pochodzenia, jak i środki majątkowe oraz społeczne stanowisko poety. Przodkowie jego pochodzili z Mazowsza, ale od lat wielu mieszkali na północnym krańcu Małopolski, w pobliżu kozienickiej puszczy, w okolicy lesistej i dzikiej. Byli to osadnicy, ludzie przedsiębiorczy i czynni, gospodarką zajmowali się mało a więcej przemysłem drzewnym, prowadzili życie ruchliwe i pracowite, wymagające sprytu i zabiegłości, co rozwijało niewątpliwie ich umysły i korzystnie wyróżniało od sąsiadów-rolników. Młodość Kochanowskiego przypadła na czas rozkwitu w Polsce życia umysłowego i politycznego (humanizm, reformacya, republikanizm szlachecki).

Podczas pobytu jego w Krakowie (od r. 1544) rozprężenie religijne doszło do najwyższego stopnia, sprawa reformy kościoła zajmowała wszystkich i wysuniętą była na pierwszy plan, jakkolwiek nie wcielała się jeszcze w zamkniętą doktrynę jednej sekty. Protestanci polscy nie zrywali związku z kościołem, a nawet w łonie duchowieństwa reforma miała wielu zwolenników. Wpływy te działały i na młodego Kochanowskiego; propaganda religijna zrozumiała ważność pieśni w języku ojczystym i od tej właśnie pory datują się pierwsze próby poezyi polskiej. Pisze więc i on *Pieśń o potopie*, którą potem znacznie przerobił i rozszerzył. Po kilkuletnim pobycie w uniwersytecie i na dworze Tarnowskiego, usamowolniony przez śmierć ojca jedzie na naukę do Włoch. Okoliczność ta szczęśliwie oddziałała na jego twórczość. Swobodny, szeroki duch włoskiego humanizmu odwrócił młodociany umysł od protestanckiej wyłączności, wskazał mu szlachetniejsze i bardziej ludzkie ideały, a kwitnąca literatura rozbudziła poczucie piękna i dała mu wzory wykwintnej formy. Autorowie włoscy bardziej oddziałali na niego, aniżeli studya klasyczne, żywcem nieraz bierze od nich postać wiersza i wytwarza pierwszy metrykę polską.

Sława poprzedziła powrót poety do ojczyzny. Dostaje się on na dwór królewski, przyjmuje udział w najbliższem otoczeniu Zygmunta Augusta, marzy o zaszczytach i godnościach. Ale ostatni Jagiellończyk, jakkolwiek lubił pieśni i zabawy, nie był wcale Medyceuszem. Poeta staje się rzecznikiem partyi królewskiej, pisze inspirowane poezye (*Satyr*, *Zgoda* itd.) a czas wolny dzieli między miłostki i hulanki. Twórczość jego poetyczna słabnie, wyraża się ona przeważnie w *Fraszkach*, ale umysł dojrzewa i obejmuje coraz szersze widnokręgi. Nie możemy tu szczegółowo powtórzyć opisu miłości Kochanowskiego, była to historya, która niejednokrotnie potem snuła się w dziejach serca naszych poetów. Przyciągany przez Tarnowskich, których sławę opiewał, bałamucony i trzymany w rezerwie przez pannę, poeta został wreszcie porzucony dla jakiegoś bogatego starosty. Było to pierwsze rozczarowanie; spotkało go wkrótce i drugie — niełaska, czy niechęć króla, zagradzająca drogę, po której zmierzała jego ambicya. Odarty ze złudzeń, zgorzkniały, przesycony hulaszczem życiem 38-letni dworak usuwa się na wieś. Prostota wiejskich obyczajów zachwyca go zrazu. Uniesienie to i budząca się nowa miłość znajduje swój wyraz w *Sobótce*; ale ani kłopotliwe życie ziemiańskie, ani prostota i szczerość narzeczonej, po bliższem poznaniu wystarczyć mu nie mogą. Ambicya nie wygasła jeszcze. Unia lubelska rozdmuchuje w nim zapał obywatelski i zwraca myśl jego na poważniejsze tory; zwolna w wiejskiej zaciszy lekkomyślny dworak przeobraża się w dobrego obywatela.

Zawiedzione uczucia osobiste przybierają również poważniejszą formę. W tym czasie właśnie pracuje nad przekładem *Psałterza*, ale mniej dba o wierne odtworzenie oryginału, obce są mu cele wyznaniowe, pociąga go zaś głównie duch i charakter utworu. Te psalmy, w których natrafia na myśli zgodne z uczuciami i pojęciami swemi, tłomaczy znakomicie, wprowadzając nieraz liczne dodatki. Hebrajski poeta nie poznałby siebie w tych pieśniach, sławiących rolną Rzeczpospolitę lub bolejących nad klęską zadaną jej przez pohańców. Przekład w wielu miejscach bywa silniejszy od oryginału, słabnie tylko tam, gdzie poeta nie mógł przejąć się duchem jego. Ów sławny psalm 137 *Super flumina Babylonis*, który my potomkowie tak odczuć i ocenić umiemy, wyszedł szczególniej słabo.

Śmierć Zygmunta Augusta rozbudziła znowu nadzieję, ale prędko położyła jej kres ucieczka Henryka. Ten drugi zawód dotknął silnie poetę. Powraca na wieś, żeni się z swą Dorotą i zaczyna gospodarować. Prosta, ograniczona kobieta nie zadawala go w zupełności, szuka uciechy i zapomnienia w winie. Przeważa w nim teraz lekki pessymizm, sceptycyzm zaprawny goryczą. „U Boga każdy błazen“ — woła nie w uczuciu pobożności—jak mniemają prawowierni krytycy — ale z szyderczą rezygnacyą myśliciela. Sprawy polityczne zajmują go coraz więcej, ale i na nie patrzy czarno, o czem świadczy *Odprawa posłów greckich*, utwór wysoce tendencyjny, ale nieoceniony dotychczas z tego stanowiska. P. Chlebowski zwraca uwagę na tę jego stronę i zaznacza pierwszy w literaturze polskiej śmiały protest przeciw niedostatkowi dóbr, skazującemu na cierpienia miliony nieszczęśliwych.

Nastały jednak i dla poety jasne chwile. Wytrwała miłość żony i narodzenie się kilkorga dzieci pogodziły go z rzeczywistością, a świetne czyny Batorego rozgrzały obywatelskie nadzieje. Dojrzały wiekiem i przebytem doświadczeniem cofa się teraz przed zaszczytami, po które dosyć mu wyciągnąć rękę i w ciszy wiejskiej pędzi szczęśliwe życie. Ten właśnie kilkoletni okres służył dotychczas za wyłączną podstawę do charakterystyki poety. Ale straszny cios rozwiał marzenia o szczęściu. Umiera mu ukochana córka i zbolały ojciec nie może już znaleść w życiu pociechy. Cierpienie znalazło swój wyraz w *Trenach*. Pierwsze z nich napiętnowane są ponurym fatalizmem i pesymizmem. Rzuca on niebiosom śmiały i potężny protest serca i dochodzi do niewiary w życie przyszłe, przemawiając do zmarłej Urszulki:

Gdzieśkolwiek jest — *jeśliś jest* — lituj mej żałości.

Po tym wybuchu głębokiej rozpaczy następuje z kolei apatya, odrętwiały umysł poddaje się wpływom religijnym i Kochanowski umiera wtedy właśnie, kiedy zwra-

cał się stanowczo ku mistycyzmowi, którego zarodki spotykamy w ostatnich *Trenach.* P. Chlebowski zaznacza w tem miejscu ciekawy szczegół, że wszyscy niemal znakomitsi poeci polscy tak w XVI i XVII, jak i XIX w. kończą mistycyzmem.

Takim występuje Kochanowski, wybitny, typowy przedstawiciel Złotego wieku. Temperament uczuciowy, z odcieniem zmysłowym, skłonny do tkliwych, serdecznych uczuć, ale pozbawiony silniejszych namiętności, umysł swobodny i szeroki, chociaż nieco leniwy, wolnomyślny i tolerancyjny nie z przekonania może, ale dlatego, że wszelka jednostronność i fanatyzm przeciwne są szlachetnej jego naturze, dostępny przeróżnym wpływom, ale przerabiający je oryginalnie; w życiu prywatnem wesoły dworak, chętny do miłostek i hulanki, a później, gdy się wyszumiał, dobry mąż i czuły ojciec; w życiu publicznem światły i miłujący dobro publiczne obywatel. Postać nie idealna wcale, ale szczera, szlachetna, swojska—i właśnie tą swojskością swoją bardzo sympatyczna.

Sprawozdanie nasze przeciągnęło się nad miarę, nie daje wszakże zupełnego pojęcia o wartości pracy p. Chlebowskiego. Niepodobna tu streścić ani subtelności krytycznego badania, ani powtórzyć szczegółowych wyników jego. Dla przykładu zwracamy uwagę czytelników na wyborny rozbiór *Szachów* i *Psalmów*, zwłaszcza tych ostatnich, i na umiejętnie wycieniowane przedstawienie stosunku poety do rodziny Tarnowskich i Hanny.

Zasługuje jeszcze na zaznaczenie swobodny, wolny od tendencyjnych upodobań pogląd autora, nie krępujący się żadnymi ubocznymi względami w wypowiedzeniu swego sądu.

Wiat.

LIBERUM VETO.

Wiedzieć i czynić. — Artykuł p. H. W. w *Gazecie polskiej.* Zamiłowanie do rolnictwa, handlu i próżnowania. Zdumiony Liverpool. — Nasi kupcy. — Pracowitość niemców i nasza estetyka. — Odezwa obywateli poznańskich. — Protest niebieskich i czerwonych fraków. — Wieczorki wełniane. — Trudność i łatwość zasługi. — Suknia wełniana jako tytuł do nieśmiertelności. — Narada marszałków dla ubezwłasnowolnienia marnotrawców. — Czarne i różowe okulary.

„Gdyby tak łatwo było czynić — powiada Shakespeare — jak wiedzieć, co czynić należy, wszystkie kaplice zamieniłyby się na kościoły a chaty biedaków na zamki książęce.“ Niewątpliwa to prawda; z drugiej wszakże strony — gdyby wiedza, co czynić należy, nie wpływała na działalność ludzką, powinnibyśmy wszyscy zburzyć nasze kazalnice dziennikarskie i wznieść rusztowanie tylko dla błaznów, ażeby ogół zabawiali. Na szczęście tak źle nie jest, i dlatego zajmę czytelników moich artykułem p. H. W. w *Gazecie polskiej* o „źródłach naszego ubóstwa.“ Przecież — do licha! — chyba to rzecz ważniejsza, niż kwestya, gdzie p. Mierzwiński będzie śpiewał i intrygował publiczność pochodzeniem swej bielizny. A więc p. H. W. dowodzi dwu twierdzeń: 1) że za wiele poświęcamy się rolnictwu i handlowi, a za mało innym zawodom i 2) że jesteśmy zbyt leniwi. Chciałbym, ażeby każdy z tych wniosków padał, jak kropla, na nasz umysł kamienny i drążył w nim dziurę dla żywotniejszego osadu. Szan. panowie, zaczynający manifesty narodowe od tych sakramentalnych słów: „my z przeznaczenia naród rolniczy“ — czy was to nie zastanawia, że podczas gdy w W. Brytanii jest rolników około 21%, we Włoszech 35, w Prusach 46, w Stanach Zjednoczonych 50, we Francyi 53, u nas 79? Albo też podczas gdy (jak to już dawniej *Prawda* zaznaczyła) najbardziej handlowy kraj, Anglia ma na 100 ludzi 6 kupców, my *15*? Rad bym tę ostatnią cyferkę posłać do Liwerpoolu i dowiedzieć się, co tam o niej sądzą. Pewnie zdumieni handlarze świata, zapytaliby: a po jakichże wodach pływają kupieckie okręty polskie, żeśmy ich dotąd nie spotkali?! Uspokójcie się wszystkie Lloydy — wprawdzie zeszłego roku kolega nasz Czarnowski jechał z Konstantynopola do Aleksandryi, ale ani na polskim statku, (który nie puszcza się po za Włocławek), ani z towarami. Owa wysoka cyfra pochodzi stąd, że do jednego u nas dworu wiejskiego przychodzi dziennie pięciu żydków, pytających o szczecinę, której nie znajdują; do jednej zaś kuchni miejskiej zagląda dziennie tyleż żydówek, pragnących nabyć zajęczą skórkę, której tam nigdy nie było, a na każdej większej ulicy siedzi pod murem kilka przekupek, posiadających w koszyku za dwa złote zgniłych owoców lub cukierków ze słodzonego krochmalu. Oto jest główna armia naszego handlu. Niezdobywa ona wiele, ale próżnuje do syta. Tego zbytku wszyscy sobie nie odmawiamy. Wynajmowałem raz w Saksonii jeden pokój od rodziny, która, oprócz sześciu osób własnych, miała *trzynastu* takich jak ja lokatorów i dla obsłużenia ich *jedną* dziewczynę, obowiązaną przytem co tydzień umyć korytarz wielki, jak Niecała ulica, i schody. Do tej czynności potrzebaby naszych sług około 30. Ci niemcy są po prostu straszni ze swoją pracowitością. Dla nich przeczytać np. całą literaturę greckorzymską i wszystkie nowsze o niej prace dla napisania książki o... Hegezyaszu, jest taką drobnostką, jaką dla nas oświecać naród w ekonomii społeczno-antiżydowskiej według — *Sinobrodego* (*Kuryer Codz.* poręcza prawdziwość tego faktu). Nasi literaci, ziemianie, przemysłowcy, oficyaliści po największej części próżnują jak kamienie. I chłop nie lepszy. Latem, kiedy najwięcej się trudzi, jedną godzinę traci na drapanie się w głowę, drugą — na jedzenie, trzecią — na zaprzęganie, czwartą — na opowiadanie kumowi, ile razy był w Częstochowie. Milionowa armia niemiecka jest potęgą straszną, ale ja się boję bardziej kilkudziesięciu milionów ludzi pracowitych, bo właściwie ci wygrywają wszelkie bitwy.

Trzeba się wszakże namyśleć. Bo gdybyśmy usłuchali rady p. H. W., nie ominęłoby nas upokorzenie. Kierownicy naszej opinii chwalą bardzo skromność w ubiorach kobiecych, ale opisują z zachwytem najstrojniejsze toalety, potępiają pojedynek, ale piętnują odmawiających satysfakcyi pistoletowej za udeptanie kogoś w nogę, czczą jednożeństwo, ale lubują się szykiem dam pół-świata, zalecają oszczędność, ale drwią ze skąpych. Podobnie z pracowitością. Rzetelnemu polakowi idzie przedewszystkiem o estetykę. Zacna niewiasta, u której jako uczeń gimnazyum stałem na stancyi, objaśniła mnie raz: psy łapią i skórę z koni ściągają — niemcy. W kilka lat później spotkałem znajomego mi wieśniaka:

— A gdzie to jedziecie Mateuszu?

— Do Siedlec, po *majstra,* koń mi padł.

Proszę mi pokazać taką córkę ojca, pobierającego 600 rs. pensyi, któraby zamiotła pokój odnajęty studentowi!

— Wie pan — rzekła raz do mnie pewna wdowa, której nieraz dawałem zapomogi na wpis dla syna — ten... pan, przecie człowiek zamożny, niósł wczoraj sam kuferek z dworca kolei do domu.

Nieraz już objawy te potrącałem, jak mi się zdaje, bez żadnego skutku. Przypominam je dziś znowu, ażeby przekonać, że demokracyi nasz delikatny żołądek dotąd jeszcze trawić nie może.

A jednakże strawić ją trzeba. Zrozumieli to już bracia nasi, bliżej do niemców przysunięci, którzy wydali w Poznaniu następującą, przez poważnych obywateli podpisaną, a przez dzienniki nasze przedrukowaną odezwę: „Wszyscy uderzeni i zatrwożeni jesteśmy smutnym stanem materyalnym naszego społeczeństwa, osłabionego wprawdzie przedewszystkiem niezależną od nas dolą kraju, ale także — wyznajmy to szczerze — długoletniem zapoznaniem naszego położenia, jak niemniej *nierozważnem nieraz życiem* z dnia na dzień, bez dostatecznego liczenia się z ograniczonymi bardzo środkami, w porównaniu z potęgą kultury Zachodu, z którym w bezpośredniej pozostajemy styczności. Trwoga ta o nasz byt i o naszą przyszłość zniewala nas odezwać się do współziomków, celem zachęcenia wszystkich ku zdwojeniu ogledności i czujności, wobec stanu tak istotnie groźnego.

Położenie nasze tem naglejszej wymaga naprawy, ile że wystawieni na coraz cięższą walkę o byt, wobec gwałtownych prądów dzisiejszej cywilizacyi, wśród własnej politycznej niemocy a wzmagających się u nas ciągle trudności ekonomicznych, odczuwanych zresztą, chwilowo przynajmniej, przez wszystkie społeczeństwa na rolnictwie głównie oparte, tracimy coraz więcej sił najżywotniejszych, a tych dalszy jeszcze ubytek, koniecznem rzeczy następstwem, o zagładę społeczną przyprawić nas może.

Kto wobec tego stanu rzeczy, wniknie głębiej w ekonomiczne nasze stosunki, ten pojmie, że u nas wszystko niemal, co przechodzi granice ścisłej konieczności, staje się wobec naszego ubóstwa materyalnego bardzo łatwo niebezpiecznym a groźnym w następstwa zbytkiem, do czego *wrodzoną niejako wszyscy prawie mamy skłonność,* zapominając chętnie, że nie kłamliwym pozorem bogactwa i majątku, lecz jedynie praktycznem zrozumieniem skrzętności i prostoty, z godnością stanąć i nienawistnym wpływom oprzeć się możemy.

Uwagi te nasunęły się nam dzisiaj z powodu zabaw pory zimowej.“

W dalszym ciągu odezwa nawołuje szczególnie do ograniczenia się w wystawności zabaw, w zbytku ubiorów itd. Dziwny wypadek! Pojawiła się ona akurat w chwili, gdy fraki niebieskie i czerwone zaczęły wypierać z salonu czarne, obiecując oczom naszym szereg malowniczych widoków. To też przypuszczam, że jeden z posiadaczów kolorowego fraka machnie ręką na gorzkie żale obywateli poznańskich, a inny krzyknie wzburzony: czemużeście z tem popielcowem kazaniem nie wyjechali wcześniej, zanim sobie sprawiłem swoją modną szatę! I ten będzie miał słuszność. Bo po stu przeszło latach nędzy i niedoli zachęcać do posypywania głów popiołem — doprawdy za późno. Szczęście, że to lepiej, niż nigdy, że w połowie naprawił swój błąd, kto go uznał.

Pod wpływem tej odezwy, czy niezależnie od niej, Warszawa dała hasło do „wieczorków wełnianych.“ Codziennie prawie czytamy w *Kuryerach* pochwały dla inicyatorów i uczestników tej skromności tak wielkie, że uważałbym się za zupełnie wynagrodzonego, gdyby po mojej śmierci tyle powiedziano, ile o każdej pannie, która przybyła na bal do państwa X. w wełnianej sukni. Mój Boże, jednym tak trudno, a drugim tak łatwo zasłużyć się społeczeństwu! A jacy my wielcy panowie, jeżeli wdziawszy na siebie wełnianą odzież, unieśmiertelniamy ten bohaterski czyn — w literaturze!

„Odzywając się w ten sposób — powiada poznańskie orędzie — do wszystkich, którym wspólne nam dobro jest drogie, mamy nadzieję, że słowa nasze nie przebrzmią bezowocnie.“ A ja mam nadzieję, że—przebrzmią. W tymże samym *Kuryerze Warszawskim,* który zapisuje troskliwie „wieczorki wełniane,“ czytam w korresponden-

cyi z Kowna: „Niemniej ważną kwestyą, jaką pp. marszałkowie mają roztrząsać, jest wywarcie wpływu na niektórych obywateli, zbyt lekceważąco trwoniących ojcowiznę i wielkie nieraz fortuny. Rozrzutność i lekkomyślność, niestety! występują i u nas *w całej sile*... Większe i mniejsze dobra ziemskie uciekają z rąk dawnych posiadaczy, a dziesiątki rodzin pozostaje bez najmniejszych zasobów. Ustanowienie opieki konkursowej nad takimi marnotrawcami może wydać błogie rezultaty.“

Więc do tego doszliśmy w swawoli, że aż marszałkowie muszą nad naszymi obywatelami, ustanawiać opiekę!“ *Prawda* — słyszymy często—patrzy przez czarne okulary; włóż, kto może, wobec takich faktów — różowe. Więc pozostaję przy zwątpieniu i mniemam, że kogo nie nauczyły rozumu nieszczęścia, tego nie nauczą ani odezwy, ani nawet zjazdy marszałków.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Widawa. W korespondencyach naszych gazet nieraz czytamy skargi na brak chęci ze strony inteligencyi wiejskiej do przyjmowania udziału w interesach gmin wiejskich, na wynikające stąd nadużycia, popełniane przez nieoświeconych wójtów pod kierownictwem aż nadto oświeconych w pewnym kierunku pisarzów, na bezczynność pełnomocników gminnych itp. Ale często korespondent nie jest nawet świadomym, jakie to owa inteligencya musi pokonywać przeszkody. Tu, dziwnie pojęte przez przewodniczącego przy wyborach przepisy Najwyższego ukazu, gdzieindziej znowu intryga pisarza, w interesie którego leży wybór członków zarządu gminnego z osób dla niego dogodnych — krzywią i łamią najlepsze usiłowania.

A na wszystko są sposoby. Jozue zatrzymał słońce, czemużby nie można zatrzymać prawa?

Nieszczęśliwa Widawa, wraz z kilkunastoma okolicznemi wsiami, od lat już czterech, pozostaje pod zarządem jednego i tego samego wójta, o którym już dawniej pisałem, a którego gospodarkę dziś szczegółowiej uczcić zamierzam.

Miasto nasze od roku 1876 posiada rejenta, który wnosi rocznie do kasy około dwustu kilkudziesięciu, zawsze więcej, niż 200 rs., handlujący z patentów składają opłatę około 300 rs., zatem już te dwie pozycye dają przeszło rs. 500 rocznie, co jednakże od 1877 r. włącznie reprezentuje kapitalik około trzech tysięcy pięciuset rubli. Fundusze te, będące w rozporządzeniu gminy, winny być wyłącznie używane na drogi, bruki, narzędzia ogniowe, słowem na wszelkiego rodzaju melioracye.

Tymczasem... naprzód bruk. Pomijam ulice boczne, ale spójrzmy na sam rynek osady, na którym tak często odbywają się liczne zgromadzenia ludzi przy targach, jarmarkach i odpustach: wcale niebrukowany, posiadający z dwóch stron chodniki z wybojami, przedstawia morze błota. Za to wieczorami, gdy księżyc odmawia światła, wolno mieszkańcom omijać je przy blasku latarni, którą każdy może nosić, jeśli posiada. Również pomyślnym jest stan pomp, które hojnie zaopatrują mieszkańców w wodę, jeśli ją sobie przyniosą o wiorstę drogi z rzeki, z narażeniem się przy zimowej porze na niezbyt przyjemną kąpiel w przerębli. W samym rynku są aż dwie: jedna wypoczywając przez $^3/_4$, bywa czynną w czwartej części roku, druga zaś formuje zasypany dół z wkopanym pośrodku słupem na pamiątkę. Z dwóch sikawek (jak to niedawno okazało się), jedna zepsuta, była niemożliwą do użycia przy pożarze, druga zaś nie chciała wody nabierać. Może przy tych środkach ratunkowych spłonęłaby połowa osady, ale na szczęście budynek był skrajny, a właściciel jego tak skutecznie manewrował obrazem jakiejś świętej, podobno Rozalii, że cały ogień poszedł na pola.

Nic dziwnego, że tak troskliwa dbałość o dobro gminy zmusiła nareszcie mieszkańców postawić pytanie „gdzie nasze pieniądze“ i w tym celu wybrać nie dla formy, lecz dla czynu pełnomocników, którzyby pomogliby wójtowi w jego ciężkiej pracy. Wybrani zostali w lipcu i dotąd czekają zatwierdzenia. Jozue zatrzymał słońce praw.

H. N.

Chełm. Poczta pieniężna, wyprawiona ze stacyi Łowcza, napadniętą została przez uzbrojonych rabusiów, którzy zamordowali konduktora i ciężko zranili pocztyliona, poczem z pośpiechu widocznie zabrali tylko rekomendowane listy i posyłki, pozostawiając w tłomoku pakiet z 10,000 rs.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 30 stycznia.

W braku ważniejszych wiadomości półwysep bałkański wyświadcza dziennikarzom nieocenioną usługę, dostarczając im, jakby na zawołanie, mniej lub więcej ważnych wypadków. Do takich zaliczyć należy wiadomość o uzbrojeniach Czarnogórza, które pomimo kilku ugód, kończących spór z albańczykami, wiecznie ma cóś jeszcze do wzięcia, jakiś skrawek ziemi, którego dobrowolnie mu nie oddadzą. W każdej więc chwili gotowy jest pretekst do bijatyki, do zdobycia mniejszej lub większej ilości uszów i nosów, do wywołania wreszcie zawieruchy, mogącej objąć szersze widnokręgi. Ale chwila obecna nie nadaje się do tego rodzaju działań, prawdopodobnie więc i nowy spór czarnogorsko-albański skończy się na niczem.

W Bulgaryi nastąpiła częściowa zmiana ministeryum: ustąpili dwaj zachowawcy a na miejsce ich naznaczył książe liberałów; nominacya ta nadała gabinetowi bardziej jednolity charakter.

Grecya zamienia ostre noty z Portą o obłożenie jej poddanych tureckimi podatkami. Mnóstwo mieszkańców wysp, na niektórych połowa prawie ludności, uważa się za poddanych greckich i żadnych ciężarów nie ponosi; rząd turecki postanowił położyć koniec temu anormalnemu stanowi rzeczy — stąd gniew.

W Rumunii (w Jassach) na posiedzeniu kongresu ekonomicznego znieważono przedstawiciela Austryi, natychmiast jednak rząd dał mu zadośćuczynienie. Historya ta powtarza się przynajmniej raz do roku: najprzód rumuni znieważają austryaków a potem ich przepraszają — i znowu zgoda... do następnego zajścia.

We Francyi trwa dotąd przesilenie robotnicze i przybiera nawet coraz szersze rozmiary. Izby obradują w tym przedmiocie, ale dotychczas zgodzić się nie mogą na żaden radykalniejszy środek. Przemysł francuski chyli się do upadku, a właściwie do ograniczenia swej produkcyi, ponieważ zapotrzebowania obcych rynków zmniejszają się z każdym rokiem. Częściowem lekarstwem na to miała być właśnie polityka kolonialna, ale środek ten przynieść może skutek dopiero po upływie kilku lat. Projektowane roboty państwowe na wielką skalę i inne tymczasowe środki bezwątpienia przyniosą ulgę — ale czy na długo? Na domiar kłopotów przyłączyło się jeszcze bezrobocie policyantów, co nie mało wystraszyło i tak już niespokojne o swoją skórę mieszczaństwo; katastrofa ta szczęśliwie jednak została zażegnaną podwyższeniem pensyi agentom.

Parlament angielski zająć się ma w bieżącej sesyi projektami reformy wyborczej i municypalnej, które przeszły już w Izbie gmin i czekają tylko na zatwierdzenie lordów. Jeżeli ci ostatni odrzucą je, Gladstone zamierza odwołać się do narodu t. j. rozwiązać Izbę niższą, spodziewając się, że nowe wybory dadzą rządowi znaczniejszą jeszcze większość. W konstytucyi angielskiej jest to jedyny, chociaż pośredni sposób odziaływania na lordów, którzy, oddać im trzeba sprawiedliwość, rzadko sprzeciwiają się stanowczo wyrażonej woli ludu.

Układy rządu niemieckiego z Watykanem znowu uległy chwilowemu zawieszeniu. Po odrzuceniu wniosku Reichenspergera, o którym pisaliśmy poprzednio, katolicy zamierzają stawić nowe żądania, którym Bismark, rozumie się zadość, nie uczyni. Jednem słowem ostateczna zgoda nie prędko jeszcze nastąpi. Najgłówniejszą przeszkodą jest ta okoliczność, że obie strony nie bardzo jej sobie życzą. Dla partyi centrum i dla Rzymu dzień zgody będzie dniem śmierci, bo stronnictwo to złożone z najróżnorodniejszych żywiołów rozpadnie się wtedy, dla Bismarka zaś wygodnie jest trzymać w szachu przeciwników, a zresztą upadek centrum zwiększy szeregi separatystów i wogóle przeciwników polityki kanclerskiej.

W Florisdorfie znowu zabity został agent policyjny Blöch. Zabójca został ujęty, znaleziono przy nim naboje dynamitowe i rewolwer; na śledztwie wyznał, że jest socyalistą. Z powodu ostatnich zajść ma być wydane prawo przeciw socyalistom i Wiedeń ogłoszony w stanie małego oblężenia. Niedawno jeszcze w Austryi inaczej zapatrywano się na te sprawy: socyalizm, o ile nie miał związku z międzynarodówką, nie był wcale prześladowany, nawet wyznawca jego — Schäffle zasiadał w ministeryum. Stowarzyszenia robotnicze rozwijały się, wzrastała propaganda, ale nie groziła bynajmniej bezpieczeństwu państwa. W ostatnich latach za przykładem innych państw zastosowano środki represyjne.

Wiedeń. Na posiedzeniu Rady państwa wniosek Wurmbranda odrzucony został większością 31 głosów, podobnież motywowany porządek dzienny (pośredni wniosek) Grocholskiego, jak i prosty porządek dzienny Madejskiego. Ministrowie byli nieobecni, tylko głosowali przeciw wnioskowi Wurmbranda. Lewica podniosła straszną wrzawę. Prezydent Smolka rozkazał wypróżnić hałasujące galerye.

CUDZE GŁOSY.

Program p. Katkowa. Z powodu adresu szlachty moskiewskiej, oświadczającej gotowość swoją do współdziałania z rządem, *Moskowskija Wiedomosti* wystąpiły z obszernym, programowym artykułem, który ze względu na stanowisko redaktora, ma zapewne — jak słusznie wyraża się *Wiek* — „praktyczną przyszłość przed sobą.“ Za punkt wyjścia posłużyły gazecie pogłoski o zmianie ustroju państwowego w Rosyi, którym ona stanowczo przeczy. Cisza, jaka zapanowała po burzliwej epoce reform rodzi w umysłach

„niepewność, co czeka nas w przyszłości, jaki porządek utrwali się w państwie, *w jaki systemat zostaną ujęte nowe instytucye.* Czyż można dziwić się wobec tego, że umysły znajdują się w stanie pewnej fermentacyi, że oczekują czegoś i wierzą każdej pogłosce. Żadne zaprzeczenia, ani urzędowe, ani półurzędowe nie zapobiegną tym pogłoskom, które rodzi brak stanowczości, niejasność położenia.“

Usunąć je może według autora tylko ściśle określona działalność, wyraźnie zmierzająca do celu, bo trzeba, żeby kraj wiedział, jaka zasada rządzi jego losami.

„Poprzednie panowanie, tak obfite w inowacye, wytworzyło wiele kwestyj, a z niemi i nieporozumień. Urobiło się na ich podstawie domniemanie, jakoby reformy z owego okresu zmierzały do tego, co w języku politycznym zowie się konstytucyą. Niedość na tem; zrodziło się w wielu umysłach przekonanie, że sama rzecz prawie już zrobiona, że jedynie słowo, nazwanie nie zostało wymówione, że nowy ustrój państwa już został w zarysie przeprowadzony, brak mu jedynie szczytu, brak tego, co wieńczy dzieło. Stąd niecierpliwość i niezadowolenie, że kwiat mający lada chwila rozwinąć się krępowany jest i dławiony. Wobec tego silić się na zaprzeczenia, że jest całkiem przeciwnie, byłoby rzeczą zbyteczną. Tylko fakty są w stanie przekonać. To też potrzeba, aby rząd działalnością swą zaświadczył, jak pojmuje nowe instytucye i *w jaki system ująć je pragnie*; trzeba, aby usunięto z tych urządzeń wszystko to, *co jest błędne*, to zaś, co jest niejasne i zmącone, aby zostało wyjaśnione i aby nie było w instytucyach tego wewnętrznego rozdźwięku (protiwurieczja). Potrzeba przedewszystkiem, aby w działalności rządu wogóle i w przepisach prawa przejawiało się wyraźnie, jak rząd sam siebie i swoje zadanie pojmuje wobec nowego położenia, wytworzonego przez reformy z okresu minionego panowania. I dlatego to obecnie najmniej jest pożądana cisza, a najbardziej potrzeba czynów śmiałych, silnych i konsekwentnych, tak w sferze prawodawczej, jak i administracyjnej. Najpierw zaś potrzeba wykorzenić mniemanie, jakoby reformy, o których mowa, ograniczyć miały w czemkolwiek władzę monarchiczną w naszym kraju, aby pozbawiły ją swobody działania.“

P. Katkow uznaje potrzebę reform dopełniających i powiada, że przekształcanie powinno posuwać się naprzód, pytanie tylko w jakim kierunku(?) Dalej wykazuje on, że jedynowładztwo jest historyczną właściwością Rosyi, i że reformy poprzedniego panowania, określające każdej władzy granice, wyrobiły mylne mniemanie, jakoby państwo z wielowładztwa przechodziło do jednowładztwa, przyczem zapomniano, że w narodzie rosyjskim niema takiej równoległej siły, która mogłaby władzę monarchy uszczuplić. Autor szczegółowo krytykuje ustawę sądową, ziemską i uniwersytecką. Pierwsza z nich to „najdziwaczniejsza anomalia,“ to „samowładna rzeczpospolita,“ której polityka niema nic wspólnego z polityką państwa rosyjskiego. Korporacya sądowa

„wyrosła w duchu opozycyi. Z początku ograniczała ona władzę administracyjną — czego było potrzeba, a potem i zasadę władzy rządowej, czego nie należało czynić. Wszystkie żywioły opozycyjne przyłączyły się do sądownictwa, z niem razem rosły, wzmacniały się i rozszerzały. W miarę powodzeń ducha opozycyjnego poddawały mu się i organy administracyjne.“

Ministrowi sprawiedliwości, według słów artykułu

„doktryna wyznaczyła jedynie skromne stanowisko egzekutora w przysionkach świątyni Temidy,, włożywszy nań jeszcze, prawda, obowiązki agenta dyplomatycznego sądowej respubliki u dworu Cesarza Wszech-Rosyi.“

Samorząd ziemski otrzymał również cięgi za dążenie do niezależności, a uniwersytety, za swobodę badań, której p. Katkow ograniczyć nie chce, ale nie pozwala na wprowadzanie i narzucanie teoryj naukowych, spornych i niewypróbowanych, o samorządzie kolegialnym nawet słyszeć nie chce, uważając go za nonsens.

Nie uniknęła surowej krytyki i Rada państwa, której członkowie powinni być jedynie doradcami monarchy. Uganianie się za większością głosów jest zgubne, bo skłania do kompromisów, do „zabawy w parlamentaryzm.“ „Prawo wtedy właśnie utraciłoby siłę, gdyby naród przekonał się, że prawodawstwo nasze jest dziełem większości nieznanych mu generałów. Naród szanuje prawo i słucha go, dlatego tylko, iż przekonany jest, że pochodzi ono od cesarza.“

„Trzeba zdecydować się na coś — kończy moskiewska gazeta — czy Rosya powinna pozostać sama sobą, z jej kościołem i prawem państwowem, w których zawiera się jej istota, czy też na miejsce Rosyi powstać ma coś nowego, nieznanego nam i obcego. W tym stanie przejściowym, który teraz przechodzimy, anomalia powstaje za anomalią i ludzie rozumni wydają się niekiedy waryatami.“

Ksiądz Senczykowski mianowany został kapelanem i proboszczem nowo utworzonej parafii katolickiej w Taszkencie. O pierwszych jego krokach na nowym gruncie donosi korespondent *Petersburskich Wiedom.*

„Nabożeństwo dodatkowe po mszy X. Ferdynand odmówił, tudzież ewangelię odczytał i właściwą naukę dla parafian wypowiedział w języku rosyjskim. Z wielkim taktem ominąwszy drażliwą stronę polityczną sprawy rosyjsko - katolickiego nabożeństwa, X. Ferdynand z pełną godności stanowczością i prostotą oświadczył, że język rosyjski, jako państwowy, pozostanie jedynym językiem jego duchownych nauk i dodatkowych nabożeństw w kościele, naprzód ponieważ nie sprzeciwia się to prawom kanonicznym, powtóre zaś, że ten język będzie nierównie zrozumialszym dla jego parafian, którzy już od tylu lat tu mieszkają i pracują śród otoczenia rosyjskiego, również jak i dla dobra ich dzieci, które pobierają nauki i obowiązane są mówić między sobą po rosyjsku, czego też, o ile kaznodzieja mógł spostrzedz, rzeczywiście dopełniają.“

Chrzest wodza młodoczechów. Nieprzyjęty do klubu czeskiego w Wiedniu, świeżo wybrany posłem do Rady państwa, dr. Edward Grégr, redaktor *Narodnich listów*, wódz młodoczeskich deputowanych, wystąpił ubiegłej soboty z mową, pierwszą, jaką wogóle wypowiedział w wiedeńskim parlamencie. Jak świetnem było jego przemówienie, dość powiedzieć, że sam projektodawca zbitego na kwaśne jabłko przez Grégra wniosku o języku państwowym, hr. Wurmbrand, winszował mówcy, że nie wspomnimy tu już o objawach uznania ze strony prawicy. I takiego to dzielnego rzecznika szlachta staroczeska wyświeca ze swego grona, dlatego, że jest bezbożnym i wybrany został nie przez nią, lecz przez lud, który odtrącił narzuconego mu, acz z innych względów wielce szanownego kandydata, dyrektora Tonnera. Mowa Grégra zajmuje w *Narodnich listach* dwie kolumny petitowego druku, a że każdy jej ustęp jest pod względem oratorskim prawdziwie znakomitym, znajdujemy się w niemiłym kłopocie, ile i które krople przelać w łamy *Prawdy* z tego pełnego żelaznej logiki i sarkazmu pucharu.

„Nie jest to wcale łatwą rzeczą—mówił Grégr zrazu—stworzyć ustawę językową sprawiedliwą, z którejby wszyscy byli zadowoleni. Mężowie do tego powołani nietylko musieliby się powodować jaknajzdrowszem poczuciem sprawiedliwości, uznającem jedynie zasadę: „Równe prawo dla wszystkich“—nietylko dla wszystkich obywateli, ale także dla wszystkich szczepów i narodowości. Mężowie ci musieliby mieć także silną wolę do utorowania pokoju pomiędzy walczącemi narodowościami państwa i musieliby stanąć wolni od nieszczęsnego przesądu, że w Austryi są ludy, z których jedne przeznaczone do panowania, a drugie do niewoli. Musieliby oni stać na tem stanowisku, które przed niedawnym czasem określił jeden z centralistów temi pięknemi słowy (ale tylko słowy): „Porzućmy wszelkie porównania z innymi szczepami, składającymi państwo, na podstawie wyższego stopnia cywilizacyi, postawmy je wszystkie na równi z narodem niemieckim—uważajmy wszystkie ludy za braci!“ Oto prawdziwe austryackie stanowisko i brak tylko, aby panowie z lewicy słowa powyższe wzięli za zasadę nietylko mów, ale i uczynków swoich.

Nie łatwą jest rzeczą, aby rząd partyjny ułożył zadawalającą powszechnie ustawę językową. Dlatego też dziwię się lewicy, iż żądanie takie stawia właśnie rządowi, który pomawia o krzywdzenie niemców a nawet wyraźnie o czechofilstwo. Z mojego stanowiska narodowego — co do mowy czeskiej —nie pokładałbym tak wielkiego zaufania w tym rządzie, ale wy panowie z lewicy macie słuszność, jeżeli tak mu ufacie, albowiem żaden inny nie oddał większych usług narodowości niemieckiej (*wielka wesołość*). Przypomnijcie sobie tylko rozporządzenie o egzaminach w uniwersytecie czeskim i głosowaniu czechów za nowelą, która w szkołach wydziałowych czeskich zaprowadziła język niemiecki, jako uprzywilejowany—krajowy; spojrzyjcie na banknoty, w których figurują obecnie dwa tylko języki: niemiecki i węgierski, podczas gdy za czasów Metternicha i Bacha było tam miejsce dla wszystkich języków Austryi! (Rumieniec na twarzy ministrarodaka, dra Dunajewskiego... *Przyp. red.*).

P. Tomaszczuk (słowianin z Bukowiny, bez oznaczonej wyraźnie narodowości; niegdyś chodził w konfederatce, później był rusinem, obecnie lewiczak. *Przyp. red.*) zarzucił, iż onego czasu wiele rosyjskich gramatyk krążyło pomiędzy czechami. Prawda, ale działo się to za rządów waszej partyi i było skutkiem ucisku. Dziś znikły te gramatyki i to jest zasługą rządu dzisiejszego. A nie mówię tego, żeby sobie zdobyć łaskawe spojrzenie Jego Ekscelencyi (mówca kokietuje spojrzeniem hr. Taaffego, który wybucha śmiechem a za nim cała Izba)—moje bowiem polityczne stanowisko jest tak wręcz przeciwne rządowi, iż nie mam nawet nadziei, by mnie kiedykolwiek przyjęto do grona jego stronników (aluzya do staroczechów). Chciałem tylko udowodnić panom, iż jest to czarną niewdzięcznością z waszej strony, jeżeli pana prezydenta ministrów nie zaliczyliście dotąd do rzędu swych narodowych świętych. (Wesołość w całej Izbie).

Z ciekawością chciałem usłyszeć coś nowego z ust oratorów, popierających wniosek Wurmbranda. P. Tomaszczuk więc upomniał nas czechów, abyśmy się uczyli po niemiecku, gdyż pozostaniemy w tyle za cywilizacyą. Bardzo to pięknie ze strony p. Tomaszczuka, iż tak dalece dba o rozwój nasz cywilizacyjny, ale muszę go upewnić, iż czesi znali drogi cywilizacyjne wpierw, zanim jeszcze Austrya istniała. Był okres w naszych dziejach, w którym naród czeski stał na wyżynie kultury bez języka niemieckiego i bez rad prof. Tomaszczuka. Wiem bardzo dobrze, jak daleko zaszła kultura niemiecka, i cenię ją, ale o tem w żadnym podręczniku historyi cywilizacyi nie znalazłem wzmianki, o ile niemcy bukowińscy przyczynili się do wzrostu narodowej świątyni niemieckiej, wiem natomiast, w jakim stopniu przyczynili się do tego nasi czesko - niemieccy współziomkowie. Zaprawdę, nie mają bukowińczycy powodu do nadymania się. Żaden Goethe, ani też Humboldt nie wyszedł z ich grona. Jeżeli więc ciągle powołują się na wielki naród niemiecki, na swoją wysoką kulturę i na swoją pracę duchową, to wydaje mi się zawsze, jakby ubożuchni krewni powoływali się na swoich bogatych wujów. (*Ogromna wesołość*).

Wobec braku wszelkich rozsądnych powodów muszę zatem przypuszczać, że wniosek p. Wurmbranda ma motyw ukryty a tym jest żądza nadania językowi niemieckiemu stanowiska, górującego nad wszystkimi innymi, że chodzi tu o przyciśnięcie nieniemieckich narodowości, o zadekretowanie wyższości narodu niemieckiego nad „niższymi“ narodami, słowem, o germanizowanie ludów nieniemieckich państwa. Oto wątek i treść wniosku Wurmbranda! Ale wstydzą się tego powiedzieć i dlatego to nie można się było od tych panów doczekać definicyi języka państwowego. Nazywa się *Staatssprache* a znaczy *germanizacya.* Dowodem okoliczność, że proponowano wyjątek dla Galicyi i Dalmacyi. Wyłączenie to ma oczywiście na celu tem rychlejsze przeprowadzenie germanizacyi.“

Grégr wspomniał następnie o dawniejszych czasach germanizacyjnych, kiedy to nawet wyroki śmierci wydawano w języku niezrozumiałym dla skazańców. Straszna ta doba minęła już bezpowrotnie a cesarz Józef II, gdyby powstał z grobu, odwołałby z pewnością wszystkie swoje rozporządzenia o państwowym uniformie.

„Co się nie powiodło twardemu absolutyzmowi, czego nie dokazano w czasach nieświadomo-

ści narodowej—tego nie dokażecie dzisiaj, a zasiejecie tylko waśń i niezgodę między ludami Austryi.“

Zabrał się mówca następnie do „liberałów“ lewicy, smagając ich nielitościwie za opozycyę przeciwko rozszerzeniu prawa wyborczego, za policyjne, t. j. „objektywne“ postępowanie prasowe, za ustawę o stowarzyszeniach i zgromadzeniach, przy których uchwaleniu tak srogo obeszła się lewica z ideą wolności, że dziś konserwatyści uchodzą za liberałów.

„Skutkiem tego—tak kończył Grégr piękne swoje przemówienie — straciła lewica prawo do przewodnictwa w państwie, straciła nawet prawo do czynienia prawicy wyrzutów. Hr. Wurmbrand zamknął mowę wczorajszą pełnem melancholii oświadczeniem, iż na początku kadencyi spodziewał się sojuszu wszystkich liberalnych żywiołów, ale, niestety, stracił już weń nadzieję. Otóż ja podzielam to zapatrywanie, z tą jednak różnicą, że nie utraciłem nadziei w ponowne przejście kierownictwa spraw Austryi w ręce partyi liberalnej. Ale partya ta z innych złożona będzie mężów i innemi kierować się zasadami — zasadami równego prawa dla wszystkich narodowości. Dzień, w którym się to stanie, zbliża się—dzień ten nadejść musi!..“

Tak mówił przewódca młodych czechów. Gdy skończył, sala obrad nowego gmachu parlamentu formalnie zatrzęsła się od oklasków, których nie szczędzili mówcy nawet jego przeciwnicy. Warto zaznaczyć, że jednym z pierwszych, którzy winszowali Grégrowi, był sędziwy wódz staroczechów i czechów wogóle, dr. Rieger, którego organ pragski, *Politik*, nader sympatycznie wyraża się o pierwszym debiucie parlamentarnym młodego antagonisty.

Na drugi dzień dr. Grégr został na wniosek Riegera przez aklamacyę przyjęty do klubu czeskiego, do którego wzbraniano mu wstępu przez czas tak długi!

W Warszawskim Dniewniku czytamy:

„W jednym z ostatnich numerów *Gaz. narodowej* wydrukowano telegram, donoszący, że hr. Kazimierzowi Łubieńskiemu kazano sprzedać swój majątek w gub. siedleckiej i wyjechać wraz z rodziną za granicę *wskutek podejrzenia o tajemne popieranie unitów*. Wiadomość ta jest prawdziwą, ale szczegóły nie są prawdziwe. Że hr. K. Łubieński, właściciel majątku Jabłoń, w powiecie radzyńskim, gub. siedleckiej, wywoływał pomiędzy b. unitami zamieszanie i niezadowolenie—to nie jest podejrzeniem, lecz zostało wyjaśnionem w kilkakrotnem śledztwie przez rozmaite osoby, które uzupełniały i sprawdzały swe działania; poświadczyli to niejednokrotnie miejscowi włościanie a nawet hr. Łubieński niezupełnie się zapierał. Naturalnie, prowadził on propagandę nie publicznie, nie na rynku, ale w cztery oczy, mówiąc to z tym, to z owym włościaninem, zachodząc do ich domów i nieraz nocując nawet; dlatego łatwo może wypierać się swych słów i twierdzić, że były źle zrozumiane. Ale oskarżyciele znajduje się wielu i zeznania ich noszą wspólny charakter. Według jednych, hrabia wyrzucał im przyłączenie się do prawosławia, według drugich. radził im nie spełniać obrzędów religijnych i dawał nadzieję, że unia będzie przywrócona; inni twierdzili, że hrabia dopomagał młodym ludziom wyjeżdżać za granicę dla zawarcia tz. *krakowskich małżeństw* (nieuznanych przez prawo), byle tylko nie dopuścić zawierania ślubu w cerkwiach prawosławnych. Były także zeznania, że hr. Łubieński nie przyjmował urzędowych rozporządzeń w języku rosyjskim, a jeżeli nie mógł uczynić tego, odpowiadał na nie po polsku.“

Dalej *Dniewnik* polemizuje z *Gazetą Narodową*, wskazuje, że Łubieńskiemu nie nakazano wcale sprzedawać majątku i wydalać się za granicę, lecz tylko na dwa lata wyjechać z Jabłoni, z prawem zamieszkiwania, gdzie mu się podoba. Wreszcie z powodu uwagi, że obecny wypadek i wysyłka Natansona są sygnałem do całego szeregu podobnych środków, dochodzi do przeciwnego wniosku i dodaje:

„Wypadki z p. Natansonem i hr. Łubieńskim, których nie ukrywają wcale, spodziewamy się, że okażą przeciwdziałanie terroryzacyi tutejszej opinii publicznej, na którą działa najwięcej zagraniczna polska prasa, przyprowadzą do rozumu tych, którzy sądzą, że mogą bezkarnie oponować rządowi i pobudzą do większej samodzielności tych, którzy, jak wyraziły się niektóre gazety warszawskie. pragną tylko spokojnego materyalnego i duchowego rozwoju kraju.“

O PRAWDĘ.

Z powodo wzmianki mojej o dziwacznem tworzeniu przez p. Sienkiewicza wyrazów i zdań niby to małoruskich, oburzony tem zuchwalstwem ktoś (prawdopodobnie sam autor powieści *Ogniem i mieczem*) dał mi w *Słowie* brutalną lekcye lingwistyczną, w której nieuctwo śmiało walczy o lepsze z niesumiennością. Dowodzi on, że wyknięte zdania: *nie twoje dieło łez mi zadawaty, sedyte i mołczyte lachy, zhreszy kozak-urezać mu szyję* itd. znajdują się u współczesnego autora Wojciecha Miaskowskiego. Argument paradny! P. Sienkiewicz napisze wyraz *Shakespeare* po polsku—*Szekspir*, a ktoś za lat 100 powoła się na niego i powie: nazwisko wielkiego dramaturga należy pisać po angielsku *Szekspir* a nie *Shakespeare*, bo tak je pisał p. Sienkiewicz, który—był w Londynie! Podobnie z Miaskowskim. Tu nie idzie o to, jak on mówił po małorusku, ale jak mówili ukraińcy. Otóż tak mówić nie mogli. Miaskowski powtarzał zdania, wypowiedziane przez kozaków, w spolszczonej formie, p. Sienkiewicz włożył je w usta kozackich pułkowników, którzy mogli przeplatać swą mowę polskimi wyrazami, ale nie mogli zmieniać właściwego sobie wymawiania. Czuł to autor powieści *Ogniem i mieczem*, bo nie przytoczył *dosłownie* wziętych u Miaskowskiego zdań, które brzmią tam np. *nie twoje dzieło łeż mi zadawać, sedyte i mołcijte lachy*, ale starał się przywrócić pierwotny tekst, tylko że mu się to nie udało, bo ukraińskiego języka nie zna. Odwoływanie się do Jerlicza, Weliczki itd. uważam za niepotrzebne zgoła, bo p. Sienkiewicz wszystkie inkryminowane zdania brał nie z ich dzieł, lecz z *Dyaryusza* Miaskowskiego; oświadczam jednak, że jeżeli mi wskaże u jednego chociażby małoruskiego pisarza (np. Weliczki) zakończenie trybu bezokolicznego na *ć* (*urezać*), trzeciej osoby liczby pojedynczej na *y* i znajdzie w środku wyrazu dźwięk *ie*, albo gdziekolwiek nosowe *ę* — wszystko wyżej powiedziane odwołam. Według zasad małoruskiej fonetyki kwestyonowane wyrazy powinny brzmieć (pomijamy etymologiczną ich prawidłowość): *diło* a nie *dieło* lub *dzieło*, *urizaty* a nie *urezać*, *zhriszyt'* a nie *zhreszy* itd. Pomimo odrębności dyalektycznych, które w języku małoruskim, nawiasem powiedziawszy, mniejsze są, aniżeli w polskim—na całej przestrzeni od Lwowa i Chełma aż do Charkowa zasadniczych różnic w wymawianiu niema. P. Sienkiewiczowi widocznie tkwiła w głowie legenda o 13 popach, z których każdy prawił niby to po małorusku, a jeden drugiego nie rozumiał; utrzymuje więc, że lud w rozmaitych ziemiach mówi rozmaicie, poeci pisali i piszą każdy odmiennym językiem i każdy z wychodzących dzienników używa innego narzecza. Jest to albo świadomy fałsz, albo gruba niewiadomość. Z wyjątkiem świętojurskich gazet, rusińskie dzienniki galicyjskie używają jednej i tej samej mowy. Rzeczywiście język literacki halickich rusinów różni się nieco od kijowskiego np., ponieważ uległ większemu wpływowi polszczyzny, a zresztą narzecze czerwonoruskie odbiega od ukraińskiego. Naród, nieposiadający prawie rodzimej inteligencyi i przeszłości literackiej, tworzyć musi wiele nowych wyrazów, we Lwowie urabiają je więc na polską a w Kijowie lub Charkowie na rosyjską modłę—stąd główna różnica. Nie potrzebuję wcale ustalać zasad małoruskiego języka, bo pracę tę oddawna podjęli ludzie kompetentni, zaś w interesującej nas sprawie małoruskiego języka może p. Sienkiewicz przeczytać sobie najnowsze prace Antonowicza, Sobolewskiego a zwłaszcza znakomite dzieło Pawła Żyteckiego (*Fonetyka języka małoruskiego*); jeżeli brak mu na to czasu i specyalnego przygotowania, niech przynajmniej kupi sobie wydaną przed 20 laty w polskim języku: *Gramatykę małoruską* Diaczana.

Dodam jeszcze dla wiadomości p. Sienkiewicza, że zwrot *tak* zamiast *to* nie może zastępować *taj*, bo ten ostatni wyraz znaczy po prostu *i*. Nie mam pretensyi do dokładnej znajomości staropolskiej mowy, ale wątpię, czy podobne wyrażenie znaleść w niej można, jak mnie o tem gołosłownie upewnia autor odpowiedzi.

Z kolei, po dowodach niewiadomości, uwydatnić muszę złą wiarę mojego przeciwnika. W poprzedniej krótkiej wzmiance (nr. 3 *Prawdy*) zalecałem redakcyi *Słowa* jakiegoś b. współpracownika *Echa* do poprawienia lingwistycznych dziwolągów powieści *Ogniem i mieczem*. Uczyniłem to dlatego, że artykuły w *Echu*, podznaczone literami *M. S.*, wyróżniały się niespotykaną w prasie naszej znajomością ukraińskiej literatury. Autora ich jednak ani znam, ani wiem, kto on jest. Tymczasem p. Sienkiewicz zrobił ze mnie b. współpracownika *Echa* i zaznacza to kilkakrotnie, podkreślając wyborną znajomość przedmiotu, którą ja jakoby *sam sobie* przyznawałem. W słowniku literackim niema wyrażenia na określenie takiej niecnoty. Treść wzmianki nie mogła podać żadnej wątpliwości w tym względzie, zresztą p. Sienkiewicz mógł łatwo zasięgnąć odpowiednich informacyj, puścił więc przeciwko mnie zarzut niegodziwy świadomie, aby tylko obronić siebie — siebie, który przecież żadnych ataków bać się nie potrzebuje od czasu, jak odniósł tryumf nawet „w kuchni wiedeńskiej“ (*Czas*). Nigdy w *Echu* nie napisałem ani słówka i z redakcyą jego nie byłem w żadnych stosunkach, bo chociaż nie jestem „znakomitym autorem,“ na dwóch stołkach siedzieć i przekonań swoich sprzedawać nie umiem.

J. L. Popławski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Podatek osobisty zaprowadzonym ma być na miejsce zniesionego pogłównego; wynosić on będzie według projektu 50 kop. od osoby. Zwolnieni od niego będą tylko żołnierze, uczący się, duchowni i kalecy.

Skroplenie wodoru. Cailletet w r. 1877, poddając wodór ciśnieniu 300 atmosfer przy temperaturze —29 i uwalniając potem nagle z pod ciśnienia, utrzymywał, że widział go w postaci mgły. Ale doświadczenie to, powtórzone przez innych badaczów, nie potwierdziło się. Również wątpliwem było doświadczenie Picteta, dokonywane w naczyniach nieprzezroczystych. Najniższa znana temperatura skroplonego etylenu parujacego w próżni wynosiła—136, tymczasem teoretyczne obliczenie pozwalało wnioskować, że wodór może być dopiero skroplony przy —174. Dopiero skroplenie tlenu i następne badania p. Wróblewskiego wykazały, że pierwiastek ten po raptownem usunięciu ciśnienia, pod jakiem znajdował się przy skropleniu, wrze i przechodzi szybko w stan lotny, dając temperaturę —186. Pozostało więc tylko obmyślić odpowiednie urządzenie doświadczenia, pozwalające na użycie ciekłego tlenu do skroplenia wodoru. Przyrząd ten p. Wróblewski wymyślił i rozpoczął szereg doświadczeń, które o mało nie zakończyły się nieszcześliwie, wskutek wybuchu rury z tlenem, wywołanego ogromnem ciśnieniem. Nareszcie wodór został skroplony, pozostaje teraz jeszcze oznaczenie temperatury jego w stanie wrzenia. Spodziewać się należy, że p. Wróblewski i tego szczęśliwie dokona, ponieważ poprzednio już stworzył metodę, pozwalającą mierzyć z wielką ścisłością najmniejsze zmiany w cieplocie badanego ciała, bez względu na wysokie jego oziębienie. Według zasad mechanicznaj teoryi ciepła, cząsteczki wszystkich ciał tracą zdolność ruchu przy —273. Temperatura ta nazywa się *bezwzględnem zerem*, najbliższą jej powinna być temperatura wrzącego wodoru, ponieważ gaz ten jest najtrudniejszym do skroplenia. Jeżeli p. Wróblewski oznaczy ją, przekona, o ile możemy zbliżyć się do bezwzględnego zera.

Mniemany plagiat Brandesa. Znany filolog prof. Geiger karci surowo pisma niemieckie za rozgłoszenie rzekomego plagiatu, którego jakoby dopuścił się Brandes w rozprawie pt. *Goethe i Börne*. Jest to niegodztw

wymysł politycznych przeciwników znakomitego krytyka. Sądziliśmy tak samo i dlatego nie powtarzaliśmy tej wieści, które i nasze pisma skwapliwie roznosiły.

Instytucye położnicze mają uledz reformie; przyjmowane będą do nich jedynie osoby, które ukończyły przynajmniej 4 klasowe progimnazyum. Może wpłynie to u nas na podniesienie moralnego i umysłowego poziomu osób, oddających się akuszerstwu. W Rosyi dziś już akuszerki zajmują daleko wyższe stanowisko i spotkać można między niemi wiele kobiet inteligentnych.

Bibliografia polska. M. J. Zaleska *Gwiazdka dla grzecznej dziatwy*, z 26 obrazkami, Warszawa.

— Mayne-Reid *Przygody myśliwskie młodych osadników w Afryce południowej*, Warszawa (z 12 rycinami), Gebethner i Wolff.

— Adolf Dygasiński *Nowelle*. Warszawa.

— Sahl-bej *Krwawy dorobek*, powieść z życia albańsko-macedońskiego. Warszawa.

— Zofia Urbanowska *Gucio zaczarowany* (z 10 rycinami). Warszawa, Gebethner.

Akademia krakowska. Na posiedzeniu wydziału historyczno-filologicznego prof. Bobrzyński czytał swą rozprawę: „O memoryale Ostroroga," wywołaną pracami Caro i Pawińskiego. Prelegent stoi w opozycyi z obu historykami w poglądach na stanowisko Ostroroga.

Odczyty. P. Juliusz Brun wygłosi w przyszłą niedzielę 3 lutego w sali ratuszowej odczyt o Alfonsie Daudet w języku francuskim na korzyść towarzystwa opiekującego się ubogimi francuzami.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

H. N. w Wid. Tylko w tej formie.

W. C. U. Byłby to szereg za długi. Wkrótce wydamy odpowiedni katalog. Co do Darwina: *O przemianie gatunków*, potem *O pochodzeniu człowieka* i inne.

P. Kup. w Miechowie. Nr. 2 i 33 wysłane, 32 wyczerpany. Pisma dla klasy robotniczej niema. Dodatek do *Inżen. i Budown.* kosztuje rs. 4 rocznie.

R. Nap. Rogowskiemu w Kijowie. Zapytaliśmy.

OFIARY.

Na pomnik Mickiewicza. Pogorzelski z Sandomierza rs. 3.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Pogorzelski z Sandomierza rs. 1. Obertyńska Helena z Poczopiniec rs. 1 k. 50.

Dla rzeźbiarski. Helena Obertyńska z Poczopiniec rs. 7 kop. 50.

Dla studentek polek w Petersburgu. Pogorzelski z Sandomierza rs. 2; Marya i Franciszka z Łodzi rs. 4.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Января 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.